

MONIKA URBAŃSKA



„UDAWAĆ DO KOŃCA”
DZIENNIK JANA LECHONIA
JAKO ŚWIADECTWO

WB ci

Łódź 2010

Korekta

Koło Naukowe Edytorów w składzie:

Karolina Dobros, Dawid Dutkiewicz, Magda Kowalska,
Justyna Niedbała, Jowita Podwysocka-Modrzejewska,
Magdalena Przybylska, Joanna Rozwandowicz,
Beata Prokopczyk, Katarzyna Turkowska

Projekt okładki i layoutu

Jowita Podwysocka-Modrzejewska

Fotografia na okładce

sygn. 1-K-1602

Oddział Zbiorów Fotograficznych Narodowego

Archiwum Cyfrowego

ul. Hankiewicza 102–103 Warszawa

www.nac.gov.pl



Wydawca

Wydawnictwo Biblioteka i Koło Naukowe Edytorów UŁ

www.wydawnictwo-biblioteka.pl

wydawnictwo@wydawnictwo-biblioteka.pl

<http://koloedytorow.wordpress.com/>

kolo.edytorow@gmail.com



Wydawnictwo
Biblioteka

Druk: Drukarnia Piktor, Łódź

Copyright © by Monika Urbańska

Copyright for this edition © by Wydawnictwo Biblioteka i Koło
Naukowe Edytorów UŁ, Łódź 2010

ISBN 978–83–62378–15–9

**Paniom Profesor
Barbarze Bogołębskiej
Barbarze Stelmaszczyk
oraz moim Rodzicom
z głębi serca — dedykuję**

Można zawsze znaleźć w swej inteligencji, woli, sercu,
coś, co pomoże nam w walce z życiem, z ludźmi. Ale na
walkę z sobą — jest tylko modlitwa¹

W odniesieniu do Lechonia mówiono o życiowej klęsce. Tragiczna śmierć samobójcza zwieńczać miała niespełnione aspiracje poety by zostać ostatnim wielkim wieszczem, poprzedzały ją zaś długie lata milczenia poetyckiego oraz opinie wielu odbiorców, iż jest twórcą anachronicznym. Jego teksty coraz częściej spotykały się z obojętnością czytelniczą. Poeta, który lubił stać w centrum uwagi, uzurpował sobie miano przewodnika, pragnął wyznaczać kierunek poezji, przegrał z kretesem. Ale czy rzeczywiście?

Wojciech Wyskiel pisząc o Lechoniu skonstatował, iż „przyszło mu żyć w czasach szybkich przemian i kataklizmów. Gwałtownie zmieniał się obraz świata, rozpadały się formy, przekształcały obyczaje, rozpadały się hierarchie wartości, traciły znaczenie dotychczasowe wzorce. A on pragnął rozegrać po mistrzowsku widowisko swojego życia, wybrać najambitniejszą z ról i pięknie ją wyrecytować, niezmiennie świadczyć wartościom, w których go wychowano. Im radykalniej rozmiął się ze swoim czasem, tym wyraźniejsza stawała się teatralność jego zachowań. I coraz jaśniej sam ją sobie uświadamiał. Cierpiał więc, że jego prywatne życie »nie jest na poziomie« jego dzieła, boleśnie przechodził cykliczne kryzysy tożsamości, usztywniał się w swojej roli albo (bezsukutecznie) próbował ją przełamać. Próbował więc wprowadzić na swą literacką scenę bohatera konkurencyjnego wobec Konrada — czasem nazywał go Don Juanem. Próbował też »rozmówić się z sobą« w prowadzonym pod koniec życia dzienniku. Niewiele z tych zamierzeń wyszło”²

¹ J. Lechoń, *Dziennik*, oprac. R. Loth, t. I, Warszawa 1992, s. 309. Zapis z 30 V 1950 r.

² W. Wyskiel, *Kręgi wygnania. Jan Lechoń na obczyźnie. (Kąg pierwszy i drugi)*, Wrocław 1988, s. 120.

Nie tylko twórczość poetycka Lechonia, ale także jego *Dziennik*, ze skrupulatnością zapisywany od lata 1949 r. aż do samobójczej śmierci 8 VI 1956 r., daje świadectwo jego życia, pasji, pragnień, nadziei, lęków, traum. *Dziennik* powstał w czasie nowojorskiego etapu życia poety, trwającego od 11 sierpnia 1941 r., kiedy to przybył z Sao Paulo. Wcześniej, od kwietnia 1930 r., przebywał Lechoń w Paryżu, gdzie pełnił funkcję *attaché* kultury, dynamicznie, z powodzeniem propagował kulturę polską, promując i wydając polskie książki, organizując odczyty, wystawy oraz spektakle teatralne. W latach 1940–1941 przebywał w Brazylii, dokąd musiał uciec z Francji w szybkiej ewakuacji spowodowanej tamtejszą dramatyczną sytuacją polityczną. Gdy zjawił się Nowym Yorku, miasto było ośrodkiem niezależnej kultury polskiej. Lechoń jako patriota od razu zaangażował się tam czynnie w życie kulturalne, robiąc wiele na rzecz miejscowej Polonii. Prowadził audycje w *Głosie Ameryki*, *Radiu Wolna Europa*, działał w Polskim Instytucie Naukowym oraz „Tygodniowym Przeglądzie Literackim Koła Pisarzy z Polski”, współredagował „Tygodnik Polski”, brał udział w licznych odczytach, a także zajmował się tłumaczeniami, nadto, po czasie długiej niemocy twórczej wrócił do pisania wierszy. Czuł się uchodźcą, co oznacza, że swój pobyt w Stanach Zjednoczonych uważał za sytuację przejściową i oczekiwał okoliczności sprzyjających powrotowi do ojczyzny.

Kiedy Lechoń dotarł do Nowego Yorku, byli tam już: Bronisław Kaper, Jan Kiepura, Artur Rodziński, Artur Rubinstein, Julian Tuwim, Kazimierz Wierzyński, Józef Wittlin. W latach 1946–1950 mieszkał u państwa Strzeleckich w Sea Cliff w Long Island. Wcześniej pomieszkiwał u przyjaciół lub w hotelu i korzystał ze stypendium rządowego oraz dotacji Funduszu Kultury Narodowej. Od października 1951 r. miał swój pierwszy własny pokój, pierwsze własne mieszkanie, zasponsorowane przez milionerkę mecenasującą ludziom sztuki i udzielającą się charytatywnie — Irenę Cittadini. Znacznymi kwotami wspierały Lechonia zwłaszcza kobiety (Polki) — oprócz wymienionej, wdowa po amerykańskim milionerze Cecylia Burr oraz Irena Wiley, malarka, od czasów gdy mieszkała w Polsce zaprzyjaźniona z literatami. Ale Lechoń nie tylko korzystał z pomocy finansowej innych — sam również wysyłał

pieniądze swemu bratu Zygmuntowi, a we wcześniejszym okresie paryskim swoim rodzicom.

We wczesnych latach 40. w Nowym Yorku tworzyło się polskie środowisko emigracyjne oraz organizacje polonijne. Miasto to wraz z Londynem było wówczas wolnym ośrodkiem kultury polskiej. Tuż po przyjeździe poeta zaczął się intensywną pracą, o czym świadczy fakt, iż już dwa i pół miesiąca później, 1 XI 1941 r. ukazał się pierwszy numer „Przeglądu Literackiego”, współredagowanego przez Zenona Kosiedowskiego. Miejszem spotkań i działań polskich emigrantów był Instytut Polski, w którym Lechoń pełnił funkcję zastępcy sekcji historycznoliterackiej. Lechoń, Wittlin i Wierzyński zainicjowali Bibliotekę Polską, a także utrzymywali stały kontakt z „Wiadomościami Polskimi”.

Jednakże nie mający rodziny Lechoń żądał od przyjaciół i współpracowników, by pracy i jemu podporządkowali swoje życie osobiste, aby byli dyspozycyjni. Drażniło go, gdy wymykali się do swych rodzin lub utrzymywali kontakty z ludźmi, jego zdaniem, bez znaczenia, bez pozycji. Poeta nie lubił dyskutować, na ogół nie starał się innych zrozumieć. Nawet w radiu *Wolna Europa* dobierał sobie dyskutantów wśród spolegliwych przyjaciół. Redagując „Tygodnik Polski” swoje własne opinie i osądy przypisywał całemu zespołowi redakcyjnemu, co po kilku miesiącach spowodowało odejście z grupy Wittlina (we wrześniu 1943 r.), a następnie (w lutym 1944 r.) Wierzyńskiego. Powstały konflikt nie zmienił jednakże zachowania Lechonia, który nie pilnował zaznaczania atrybucji autorskich na łamach pisma, zaś swoje sądy formułował nadal w sposób aksjomatyczny, tak jakby były głosem ogółu społeczeństwa. W jego tekstach z „Tygodnika Polskiego” roi się od chwytów perswazji, komplementów, hiperboli, epitetów i zachwytów kierowanych do osób, którym teksty są poświęcone, oraz od jednoznacznych ocen nie pozostawiających pola do dyskusji, zdań w stylu: tylko barbarzyńca mógłby nie docenić...

Nie można jednak roli Lechonia ocenić negatywnie — był on bowiem w czasach nowojorskich jednym z duchowych wodzów, cementujących całe polskie środowisko intelektualne. Nadto, lata te pozytywnie wpłynęły na jego twórczość — przemówił po długim czasie poetyckiego milczenia. W latach 40. i 50. Lechoń odżył twórczo. Tłumaczył

m.in. Aleksandra Błoka, Mirrę Lochwicką, Leonidasa Andrzejewą, pisał nieukończony dramat *Godzina przestrogi* oraz niesfinalizowaną powieść *Bal u senatora*, wydał dwa zbiory poezji: *Lutnia po Bekwarku* (1942 r.), *Aria z kuran-tem* (1945 r.), w latach 50. napisał również wiele wierszy.

Swój nowojorski etap z pietyzmem dokumentował każdego dnia na stronach *Dziennika*. Zaczął go pisać jako pięćdziesięciolatek znajdujący się na takim etapie życia, na którym człowiek skłania się zarówno ku pewnym podsumowaniom, jak i pełnemu niepokoju spoglądaniu w przyszłość. Dwadzieścia dwa zeszyty zapisków Lechońa to dziennik intymny — szczerze i poruszające świadectwo jego wewnętrznych przeżyć, codziennych spraw, pogoni „za chlebem”, zapisy prowadzonych projektów literackich, opisy snów i doświadczeń Polonii, a także relacje z życia. W *Dzienniku* odnosi się autor zarówno do swej przeszłości, jak i do niemal wszystkich spraw bieżących — prozaicznych i kulturowych, kreśli rys swoich czasów i obnaża własną psychikę.

Jak akcentuje Roman Loth: „[*Dziennik*] jest też niewątpliwie dziełem literackim. (...) Wbrew bowiem pozorom ów dziennik intymny, zgodnie z założeniami dwudziestowiecznych realizacji tego gatunku, pisany jest tyleż dla siebie, ile dla czytelników.³ W zapiskach Lechońa nietrudno wytropić adresata. Wśród skąpo zarysowanych i błądzących wątków fabularnych dają się też odnaleźć drobne całości formowane jako utwory skończone i obdarzone pewną autonomią — od aforyzmu poczynając, poprzez anegdotę aż do poetyckiej prozy (...). Cechy gatunkowe wyznaczyły bohatera literackiego, tożsamego z autorem, i główną oś kompozycyjną, prowadzoną przez bieg czasu”.⁴

³ Fragmenty pierwszych zeszytów były wydawane za życia autora w londyńskich „Wiadomościach”. Przygotowywał je do druku Lechoń oraz, za jego wskazaniem, Stefania i Juliusz Sakowscy. Autor myślał także o edycji całości. Lechoń w *Dzienniku* odznacza się pod tym względem niekonsekwencją. Z jednej strony zdaje sobie sprawę, że pisze go dla późniejszych czytelników, z drugiej utrzymuje, że diariusz stanowi listy do samego siebie (J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 58. Zapis z 25 IX 1949 r.). Nadto, Lechoń czytał swoje stare zapisy i nie zawsze był z nich zadowolony, podkreślał, iż musi się bardziej przyłożyć, by pisanie nie było gryzmoleniem, chciał nawet wydrzeć kartkę, ale stwierdził, że musi ją zostawić, gdyż *Dziennik* ma być dokumentem „choćby dla niego samego”, por. *ibidem*, s. 53. Zapis z 22 IX 1949 r.

⁴ R. Loth, *Ostatnie dzieło Lechońa*, [w:] J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 20.

Wyskiel natomiast zauważa: „najogólniej ujęta niezwykłość tego dziennika polega na tym, że autoterapia i autokomunikacja zostały w nim utożsamione z procesem, który nazwałbym »samoutwierdzeniem w formie«, w formie własnej egzystencji, którą uznaje się za ostatecznie ukształtowaną. Akcją dziennika nie ma być ani niezwykłość zdarzeń (stąd — dłużyzny), ani sensacyjne intymności (stąd »zakłamanie«), ani przenikliwość myśli (stąd — banał). Ma on przede wszystkim prezentować samą formę człowieczeństwa, jaką stworzył autor”.⁵

Dziennik dowodzi, że Nowy York nigdy nie stał się dla Lechońa domem. Do końca życia towarzyszyła mu tęsknota za ojczyzną, za Warszawą:

Dziś mnie we śnie nawiedził anioł polskiej doli
I płakał, szumiąc w mroku skrzydłami srebrnymi,
Jak gdyby chciał powiedzieć: „Umierasz powoli,
Samotny, tak daleko od rodzinnej ziemi.

Daleko? Co ty mówisz? Mnie wszystkie zapachy
Ogrodów i pól naszych co dzień niosą wiatry,
We mnie, we mnie jest wszystko: mazowieckie piachy
I jeziora litewskie, i Wisła, i Tatry!⁶

Nowy York skonstrastowany jest z Warszawą jako przestrzeń obca:

Nad obce wielkie miasto zmrok zapada obcy
Stoję w oknie i patrzę, jak wolno śnieg prószy,
Ach! Było to tak dawno, kiedy, mali chłopcy,
Biegliśmy przez Warszawę, rozcierając uszy!⁷

Wracanie do przeszłości nie ograniczało się jedynie do nowojorskiego okresu życia poety. Lechoń już wiele lat wcześniej z uporem myślał o dawnych czasach, opowiadał się po stronie starych wartości i tradycji (także literackich), uznając je za niepodważalne. Jego retoryka za-

⁵ W. Wyskiel, *op. cit.*, s. 65.

⁶ J. Lechoń, *Rozmowa z aniołem*, [w:] *idem, W mym sercu jak w bursztynie. Wybór wierszy i przekładów poetyckich oraz dramaty poetyckie*, wybór i wstęp B. Dorosz, Warszawa 2003, s. 160. Wiersz pochodzi z 1955 r.

⁷ J. Lechoń, *Mokotowska piętnaście*, [w:] *ibidem*, s. 110.

sadzała się na korzystaniu ze sprawdzonych rekwizytów. Jako admirator twórczości Adama Mickiewicza przybrał pozę ostatniego wielkiego romantyka, nawet osobiste wyznania kamuflując pod kulturową maską. Jego teksty zastygły w czasie, nie poddały się nowym modom.

Kazimierz Adamczyk zwraca uwagę, że „ciągle patrzenie wstecz jest świadectwem bankructwa człowieka stojącego u progu starości, człowieka, który poszukując swojej tożsamości, potrafi odnaleźć ją tylko w dzieciństwie”.⁸

To szukanie związków między złem minionym a obecnym bardzo niszczyło poetę: „Przez ostatnie lata myślałem, że już nie będę nigdy taki, jak jestem teraz — to znaczy, że nie będę się czuł tak jak przed trzydziestu laty. I jestem znów zagubiony, sam i przekonany, że poza pisaniem nie istnieje i nie warto, żebym istniał”.⁹

O znikomości własnego istnienia czytamy także w *Nokturnie*:

Cóż ja jestem? Liść tylko, liść, co z drzewa leci.
Com czynił — wszystko było pisane na wodzie.¹⁰

10

Badacz Lechonia zaznaczył, iż jest on antologią poezji polskiej i gdyby wszystkie tomy tej poezji uległy zniszczeniu, a przyszły historyk literatury odnalazł jedynie pięć tomików autora *Herostratesa*, jego wyobrażenie o naszej liryce niewiele odbiegałoby od rzeczywistości.¹¹ Podobne spostrzeżenie czyni także Joanna Kisielowa, wskazując na złożoność bohatera lirycznego Lechonia. Jej zdaniem przeżywa on barokowe rozdarcie między antynomiami duszy i ciała, miłości i śmierci, nieba i piekła. Przemierza także nocne ogrody w przebraniu romantycznego kochanka, doświadczać zarówno nudy jak i spleenu dekdenta XIX w.¹²

⁸ K. Adamczyk, *Dziennik jako wyzwanie. Lechoń, Gombrowicz, Herling-Grudziński*, Kraków 1994, s. 66.

⁹ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 84. 15 XI 1949 r.

¹⁰ J. Lechoń, *W mym sercu...*, op. cit., s. 104.

¹¹ Pod. za: J. Kwiatkowski, *Czerwone i czarne. O poezji Jana Lechonia*, [w:] idem, *Szkice do portretów*, Warszawa 1960, s. 21.

¹² Pod. za: J. Kisielowa, *Retoryka i melancholia. O poezji Jana Lechonia*, Katowice 2001, s. 11. Nadto, Kisielowa, rzucając światło na osobowość Lechonia, wskazuje na obecność w jego twórczości retoryki i melancholii. Jej zdaniem jest to „zderzeniem dwóch przeciwstawnych sobie perspektyw. Retoryka wiąże się z sytuacją społeczną, wy-

Wierzyński, przyjaciel poety, podsumował go jako twórcę w następujący sposób: „(...) Dziś, po latach, można bez omyłki powiedzieć, że objawił się jako geniusz. Pisał mniej, niż pragnęlibyśmy wszyscy kochający jego wiersze, bo odpowiadał mu rodzaj poezji oszczędnej i opanowanej, która spośród różnorodnych wzruszeń wybierała najważniejsze i szukała dla nich wyrazów monumentalnych. Ani patos, ani uniesienie porywające go tak często, nie rozbiły mu klasycznej formy, potrafił też najbardziej wzburzoną treść utrzymać w umiarze”.¹³

Podmiotem ciągłych mentalnych powrotów były szczególnie czasy młodości, lata spędzone w ojczyźnie — zupełnie jakby poeta nie był w stanie zaakceptować siebie w teraźniejszości. W czasie pisania *Dziennika* wracał Lechoń do lat młodości z pewnym natręctwem. Choć praktycznie od początku lat 30. nie było go w kraju, do końca życia kultywował jego zapamiętany obraz. Nowy York usiłował „umeblować” polską kulturą i polskimi sprawami. Wysiłki Lechonia w czasie ostatniej emigracji sprowadzały się do jak najwierniejszego odtworzenia w Nowym Yorku klimatu warszawskiego. Wydarzenia nowojorskie nie interesowały go, o ile nie miały związku ze „sprawą polską”, w *Dzienniku* wyznał, iż przez pięć pierwszych lat mieszkał w USA „nieobecny w tym kraju”.

Lechoń tworzył Warszawę w Nowym Yorku także po to, by lepiej się na obczyźnie czuć, odnaleźć, a nawet poczuć komfortowo — przenosząc stare zależności i relacje,

maga odbiorcy, na którego oddziałuje, jest skierowana na zewnątrz. Melancholia natomiast oznacza nastawienie się na nadawcę, kieruje ku jego wnętrzu, powoduje izolację wobec zewnętrznego świata. Retoryka jest dziedziną jasnych, logicznych rozstrzygnięć i formalnej precyzji, melancholia »zastyga w nierozstrzygalności«, mnoży pytania, układa szyfr biografii. Dla pierwszej z nich kluczowymi pojęciami są: »dziedzictwo«, »hierarchia«, »trwałość«, druga — obsesyjnie krąży wokół tematów straty, rozproszenia, śmierci. Gdy melancholia rejestruje ów ruch rozproszenia, w retoryce mieści się zamysł ocalenia tego, co istotne. Melancholijnemu odczuciu niedojrzałości własnej egzystencji retoryka przeciwstawia dojrzałość form tradycyjnego wyrazu. Retoryka wreszcie, odsyłając do porządku sztuki, akcentuje konsekwencje i powszechność, zamknięta w porządku egzystencji melancholia faworyzuje osobność i jednostkowość. Ostatecznie retoryka i melancholia wyznaczają postawy całościowej tożsamości poezji Jana Lechonia. To dwa najistotniejsze filary”.

¹³ K. Wierzyński, *Leszku Kochany, żegnam Cię*, [w:] *Wspomnienia o Janie Lechoni*, zebrał i oprac. P. Kądziela, Warszawa 2006, s. 321.

ze swoją osobą w centrum, by błyszczeć i dowodzić (choć paradoksalnie przyznawał, że sam źle znosił pychę innych, nawet naprawdę wielkich ludzi¹⁴). niesprawiedliwe byłoby jednak mówić, że Lechoń wykorzystywał innych do budowania tej iluzorycznej ojczyzny. Przyjaciele Ignęli bowiem do niego, przystawali na jego wizje i plany. Lechoń był dla nich symbolem polskości, znakiem polskiej tożsamości, animatorem życia polskiego, który ich jednoczył.

W stosunku Lechonia do Nowego Yorku było wiele charakterystycznych dla poety niespójności i niekonsekwencji. Po dziesięciu latach pobytu w tym mieście napisał, że wysiedział sobie w nim już jakieś miejsce, które jest mu psychicznie znośne i wraca tu jak do domu. Przyzwyczaił się do swobody tego miasta, do tego, że ma się w nim równe z innymi ludźmi prawa. Jednakże rok później stwierdził, że wraca od znajomych do Nowego Yorku prawie z rozpaczą, bo to nie jest jego dom.¹⁵

Jak akcentuje Wyskiel: „Lechoń to szczególnie wyrazisty przypadek emigranta ograniczającego na obczyźnie swą aktywność do takich sfer, którym może nadać »swojski« charakter, czyniąc je imitacjami przestrzeni ojczystrych. Kultuwując na tych wydzielonych obszarach wzorce przywiezione z kraju, chronił je nie tylko przed konfrontacją z ojczyzną, ale też przed naturalnym oddziaływaniem czasu. W ten sposób utrwał niczym w konserwie formę własnej egzystencji. Napór sił zewnętrznych starał się równoważyć stopniowym wycofaniem w przestrzeń wewnętrzną, w przestrzeń własnych dokonań i realizacji. Kiedy i temu skrawkowi życia nie mógł zapewnić suwerenności — w rozpacz zdecydował się na gest najradkalniejszego wycofania. Byle tylko nie przeżyć rozpadu z takim trudem zbudowanej formy egzystencjalnej, którą Leszek Serafinowicz nazwał kiedyś Janem Lechoniem”.¹⁶

Z kolei Tadeusz Nowakowski przytacza, że Lechoń w rozmowie z nim oświadczył, iż „z dala od Warszawy jest rybą na piasku”.¹⁷

¹⁴ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 276. Zapis z 23 IV 1950 r.

¹⁵ Pierwszy zapis, zob. J. Lechoń, *ibidem*, s. 303. Zapis z 21 V 1950 r., drugi, *ibidem*, s. 366. Zapis z 1 VIII 1950 r.

¹⁶ W. Wyskiel, *Kręgi* op. cit., s. 67–68.

¹⁷ T. Nowakowski, *Ryba na piasku*, [w:] *Pamięci Jana Lechonia*, Londyn 1958, s. 41.

Warszawa była cenna dla poety nie tylko ze względu na stare sentymenty — w stolicy był Lechoń „figurą” — tu znalazł wszystkich, prowadził bujne życie towarzyskie w otoczeniu ludzi ze świata artystyczno-politycznego, orientował się na bieżąco we wszystkich plotkach, doskonale poruszał się w świecie kultury, którą współtworzył. Mimo wielu lat na emigracji zdawał się nie opuszczać Warszawy — zarówno w Paryżu jak i w Nowym Yorku jego mieszkanie przypominało polskie muzeum, pełne książek, obrazów, płyt gramofonowych, fotografii... Gdziekolwiek był, wszędzie towarzyszyło mu to samo poczucie tęsknoty i osamotnienia:

I wiem, że kiedy wrócisz w te jedyne strony,
By tamte ujrzeć liście jak wiatr je porywa,
Tak samo będziesz chodził jak tu zamyślony
I słuchał tej jesieni, co już jest prawdziwa.¹⁸

Także w *Starej Warszawie* ujawnia się Lechoń tkliwe wspomnieniowy, wracający do czasów i miejsc dzieciństwa i młodości. Ogromną tęsknotę, łaknienie wszystkiego co polskie — polskiej kultury, mowy, przyrody wyraża również *Dziennik*. 6 XI 1949 r. poeta zapisał: „Kiedy Doda Conrad zaczął śpiewać pieśni Chopina do słów Mickiewicza, rozpląkałem się. Najpierw z powodu polskiej mowy, a później z powodu Chopina”.¹⁹

Wieczorem, 26 VIII 1950 r. Lechoń zauważył: „Na mojej 114 ulicy wysoki księżyc, niebo jak kiedyś w Warszawie na Boduena”.²⁰

Dwa lata później, 12 VIII 1952 r. zanotował: „Leje jak w Zakopanem. I majaczy mi się Zakopane, Karpowicz, kwiczoły i porter, Kasprzowicz i Żeromski”.²¹

Również w tekstach poetyckich z lat emigracji nie brakuje sentymentów, tęsknot i wzruszeń:

Smutek taki mnie chwycił, że zda się, aż skomli,
Ani przed kim się zalić, kto wie, kiedy minie.

¹⁸ J. Lechoń, *Jabłka i astry*, [w:] *W mym sercu...*, op. cit., s. 107.

¹⁹ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 111.

²⁰ *Ibidem*, s. 388.

²¹ *Ibidem*, t. II, s. 509.

Gdybyż to było można usiąść przy kominie
I czytać sobie stare wiersze Syrokomli!

I marzyć, jakbyś pocztą wędrował podróżną.
O owych lasach, rzekach, tych dworach, tym zdroju,
I myśleć, że są wszyscy w przyległym pokoju,
Od których ciągle listów wyglądasz na próżno.

Cóż znajdę, jeśli wyjdę takiego wieczoru?
Tu wszyscy obcy i każdy gdzieś śpieszy.
Ach żadna mnie muzyka dziś nie pocieszy,
Chyba „Aria z kurantem” ze „Strasznego Dworu”.²²

Kajetan Morawski usiłował dociec, dlaczego Lechoń, mimo miłości do Warszawy, tak dobrze adaptował się do warunków emigracyjnych. Morawski doszedł do wniosku, że przemiany emigracyjne, choć szczerze, nie sięgały w głąb duszy Lechonia, wynikały z dystansu, jaki zachował do zewnętrznego świata.²³

Na obczyźnie usiłował Lechoń znaleźć coś polskiego. Płaszczyzną odniesienia była podobna przyroda a także ten sam Bóg czuwający nad całym światem: „Od paru dni po parę chwil na dzień ogarnia mnie poczucie, że świat, w którym żyję, ów Nowy York i te pagórki — są częścią tego samego świata, co Warszawa, co Pawłowice czy Wronczyn. Robi to podobieństwo tutejszego i polskiego pejzażu, ale nie tłumaczy to wszystkiego. Po prostu na razie nieśmiało, jakby bez celu spływa na mnie błogie, upajające uczucie łączności z całym światem, uczucie chrześcijańskie jakby pewności, że tam i tutaj zarówno Bóg jest nad nami”.²⁴

Marzeniem Lechonia-emigranta było spocząć kiedyś w polskiej ziemi:

To, w co tak trudno nam uwierzyć,
Kiedyś się przecież stanie jawą.
Wiec pomyślałem: chciałbym leżeć
Tam, gdzie mój ojciec — pod Warszawą.

²² J. Lechoń, *Aria z kurantem*, [w:] *idem, W mym sercu...*, op. cit., s. 90.

²³ Zob. K. Morawski, *Podzwonne*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 97.

²⁴ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 218. Zapis z 21 VIII 1951 r.

Niech ci ta myśl się nie wydaje
Ani małostką, ni znużeniem,
Z największym kocha upojeniem,
Kto się z miłością swą rozstaje.

I nagle widzisz: jest noc chmurna
I niebo polskie ponad nami,
I stary ogród. A w nim urna
Z naszego życia popiołami”.²⁵

W wierszach objawia się dojrzałość patriotyczna i obywatelska autora, pragnienie wolnej ojczyzny:

Do wspólnej wielkiej przyszłości wezwany,
Wszystkim Polakom braterstwo ślubuję.²⁶

Lechoń myślał o ojczyźnie bardzo często, przeważnie jako o miejscu utraconym i utęsknionym, akcentował, iż Nowy York — obce miasto — pozbawione jest rodzimych uroków. Nawet język był mu wyjątkowo obcy: „Usiłowanie, aby naprawdę wczuć się w angielski odczuwam jako ciężki przymus”²⁷ — to słowa poety od ośmiu już lat mieszkającego w Nowym Yorku. Lechoń otaczał się Polonią i polskimi sprawami i nie posiadał amerykańskiego obywatelstwa. Jednak pod koniec życia zdawał sobie już chyba sprawę, że nie wróci do Polski nękanej przez komunizm, do tej Warszawy, której po II wojnie światowej już nie ma. Oczekiwał zatem kolejnej wojny, która ustaliłaby porządek świata i uwolniła ojczyznę od nowego komunistycznego zaborcy. Jeszcze 26 III 1951 r. wierzył w powrót do ojczyzny, o czym świadczy fakt, że żaląc się nad zmarłym mężem Zosi Rajchman, zanotował, iż umarł on w biedzie, niedoceniony i nie „dożył tych paru lat jeszcze, których mu brakowało do naszego powrotu”.²⁸ Natomiast 23 VIII 1953 r. poczynił uwagę, iż nigdy nie modlił się o powrót do Polski, ale czas zacząć, gdyż w tej sprawie tylko na Boga można już liczyć.²⁹

²⁵ J. Lechoń, *Ojczyzna*, [w:] *idem, W mym sercu...*, op. cit., s. 83.

²⁶ J. Lechoń, *Hymn Polaków z zagranicy*, [w:] *ibidem*, s. 66.

²⁷ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 26. Zapis z 31 VIII 1949 r.

²⁸ *Ibidem*, t. II, s. 83.

²⁹ *Ibidem*, t. III, s. 444.

Również w liryce Lechonia wiele jest polskiej religijności i tradycji. Motywy religijne, biblijne, usytuowane są często w polskich realiach. Kobieta spotykająca zmar twychwstałego Jezusa to chłopka w łowickiej spódniczce (*Wielkanoc*), zaś anioł zwiastujący Marii poczęcie Bożego Syna zapowiada:

Wielka Tobie nowina! Będziesz Panno mieć syna!
Bóg Ci każe Królową polskiej być korony!³⁰

W *Męczennikach* „Wszyscy święci z ołtarzy, z obrazów, z pomników (...) wychodzą na spotkanie naszych męczenników”.³¹

Miłość Lechonia do ojczyzny zrodziła się już w dzieciństwie, w jego przepełnionym wartościami patriotycznymi domu rodzinnym. Już jako dziecko lubił Leszek Serafinowicz książki, lecz nie książki dla dzieci, ale historyczne z ilustracjami. Gdy nie umiał jeszcze czytać, słuchał, jak czytają mu rodzice, a sam z zacięciem oglądał ilustracje. Wczesne zamiłowanie do ilustracji i obrazu zaowocowało u niego doskonałym wyczuciem malarstwa. W późniejszych latach śmiało można mówić o nim jako o znawcy tej dziedziny sztuki. Na obrazy spoglądał Lechoń okiem konesera miłującego detal: „Wielcy mistrze wiedzieli, co robili. Światło przenikające ciało ludzkie i muzyka jego linii — to tajemnice, do których jeszcze przez wieki mogliby się malarze dobierać bez obaw, że wyczerpią sprawę. W Rio patrzyłem godzinami na cud tych gam koloru i gestu, na kontrasty ciał brązowych, złotych, różowych i chyba dziesiątków odmian czarnych, które kostiumy kąpielowe, zwłaszcza wypłowiałe, te noszone przez biednych Murzynów — jeszcze podkreślały, nadając im nieoczekiwane malarskie finezje”.³²

Od 1904 r. redagował pismo „Gazeta mamy i Leszka”, w którym pracował głównie nad rysunkami dotyczącymi zająć społeczno-politycznych, widzianymi i komentowanymi dojrzałe, jak na tak małego odbiorcę. Leszek ze starszym bratem wycinał fotografie z czasopism i zbie-

³⁰ J. Lechoń, *Kolęda*, [w:] *idem*, *W moim sercu...*, s. 73.

³¹ *Ibidem*, s. 109.

³² J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, t. I, s. 59. Zapis z 25 XI 1949 r.

rał śpiewniki patriotyczne, by w ten sposób dokumentować dzieje. Ojciec przyszłego poety dbał, by w domu była prasa dziecięca, kupował także „dorosłe” książki i encyklopedie oraz pozwalał Leszkowi kupować książki, które go szczególnie zaciekały. Leszek garnął się do literatury, przedkładając tego typu rozrywkę ponad rower czy domowy zakład fotograficzny.³³

Poetyckie początki Lechonia to 1912 r. i dwa małe tomiki sfinansowane przez ojca — *Na złotym polu* (grudzień 1912 r.) oraz *Po różnych ścieżkach* (styczeń 1913 r.). Jego pseudonim poetycki ma zapewne genezę w romantycznych tradycjach literackich Juliusza Słowackiego, może mieć też związek ze sposobem, w jaki zwracała się do Lechonia matka. Mówiła do niego: Lecho. Zbiór, który przyniósł Lechoniowi nieśmiertelność — *Karmazynowy poemat*³⁴ — ukazał się, gdy

³³ Zob. Z. Serafinowicz, *Wspomnienie o Janie Lechońiu*, [w:] *Wspomnienia...*, s. 7, 10, 12. O swoim ojcu pisał Lechoń w sposób następujący: „Już za mojej pamięci ojciec z wielkim trudem ją [bibliotekę] uzupełniał, wszystko szło na nas, na nasze ubrania, dodatkowe lekcje, dobre wakacje. Mój ojciec był człowiekiem (...) niezwykle jako charakter, jako wiara w piękne hasła: poświęcenie, altruizm, patriotyzm, praca społeczna. Poświęcając dla nas wszystko, nie zyskiwał przez to nawet naszej wdzięczności i niszczył się, cofając się intelektualnie, przez co nie mogąc być pożądanym przez nas towarzyszem. Wszystko to zrozumiałem późno, szczęściem nie za późno, bo mogłem ojcu w czasie jego choroby okazać moją miłość i szacunek bez granic i bez zastrzeżeń. Nieraz w życiu myślałem jakim skarbem była i jest dla mnie pamięć o ojcu, świadomość jego nieposzlakowanej cnoty i że jego przykład był po prostu szkołą, która rozwinęła moje dobre skłonności, tłumiąc gorsze. Nie jeden kto tego szczęścia nie miał, nie czuje się na pewno zobowiązany do cnoty, nie wierzy w nią. Mój ojciec miał śmieszności, na które specjalnie byłem wrażliwy i które przez lata całe mąciły moje z nim stosunki. Ale kiedy ogarniam całość jego życia, nad wszystkim góruje wdzięczność za jego poświęcenie dla mnie i za jego szlachetność w każdej sprawie. Wiedząc, że działał tylko na ciasnym podwórku warszawskim, myślę o nim lepiej niż o wielu wielkich ludziach”. J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, s. 329–330. Zapis z 23 IV 1950 r. Wzruszające świadectwo pracowitości rodziców dał Lechoń w liryku Mokotowska piętnaście: „To przecież moja Matka szyje ręką drobną/ I widzę pochylony cień ojca na ścianie/ Co nocami odrabia robotę osobną,/ Za którą dla nas wszystkich ma kupić ubranie”. Zob. J. Lechoń, *W mym sercu...*, *op. cit.*, s. 110.

³⁴ O *Karmazynowym poemacie* wypowiadano się w następującym tonie: „*Karmazynowy poemat* uczynił Lechonia, młodzieńczego wówczas studenta Uniwersytetu Warszawskiego, sławnym na całą Polskę. Zrozumiano, że zjawił się naprawdę wielki poeta, kontynuujący tradycję poezji romantycznej”, S. Baliński, *Lechoń poeta*, [w:] *Pamięci...*,

poeta miał dwadzieścia jeden lat. Tomik ten pozwala uznać Lechonia za twórcę w pełni dojrzałego. Wczesniejsze wiersze, pisane przez trzynastolatka, również uderzają dojrzałością i trafnością obserwacji, prowokując jednocześnie do zastanowienia — skąd u tak młodego człowieka podobne emocje. Lechoń w *Dzienniku* raz zaprzeczał jakoby tak czuł jako młodzieniec, innym razem potwierdzał, że już wówczas było w nim wewnętrzne rozdarcie.³⁵ Nasuwa się pytanie, czy rzeczywiście ktoś, komu podobne emocje były zupełnie obce, mógł z tak dalece idącą wiarygodnością i głębią jedynie naśladować modne wówczas tendencje literackie? To wątpliwe. Niepokoi jednak, że trzynastolatek był w stanie myśleć tak jak dojrzały dekadent:

Czemu przez życie iść tak źle?
Czemu tak smutno na duszy?
Czemu nam burze niebo śle
I echa wiosny głuszy.³⁶

Co więcej, niektóre wiersze z debiutanckiego tomiku zdają się antycypować późniejsze lęki dojrzałego twórcy, zdradzają jego dezintegrację wewnętrzną:

Ja pod ciężarem rozpaczy zemdlony
Bez plonów wracam i stoję u bramy.³⁷

Dominuje w jego wierszach konwencja przeplatana własnymi doświadczeniami biograficznymi. Przeszłość od początku pociąga poetę bardziej niż teraźniejszość. *Karmazynowy poemat* jest świadectwem tego, że odzyskana nie-

s. 60; „Całość tych zbiorów wyodrębniła dla mnie Lechonia z tego zespołu tak dalece, że odtąd wydawał mi się osobowością poetycką rozsadzającą ramy zbiorowości”, A. Bogusławski, *Sprzeciw i podziw*, [w:] *ibidem*, s. 69; „(...) Jego debiut poetycki [był] równie oszałamiający jak oddźwięk z jakim został przyjęty. Przyjęto go jako jedno z objawień nowej poezji (...) Podziwiano rękę mistrza i dojrzałość jego utworów (...) Tom jego wierszy zachwycił tradycyjalistów i nowatorów”, J. Sakowski, *Załobny pas lity*, [w:] *ibidem*, s. 3.

³⁵ Por. J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. III, s. 121 i t. II, s. 80.

³⁶ J. Lechoń, *Bez odpowiedzi*, [w:] *idem*, *Poezje zebrane*, oprac. i wstęp R. Loth, Toruń 1995, s. 444.

³⁷ J. Lechoń, *Sonet*, [w:] *ibidem*, s. 456.

podległość ojczyzny staje się okazją do postawienia fundamentalnych pytań o tożsamość, miejsce w nowym łańdź, o przeszłość i przyszłość. Podmiot mówiący w wierszach jest zatem rozdarty, co przejawia się szczególnie w antynomiach snu i przebudzenia, retoryki i milczenia. Już wówczas okazuje się, że w buncie i wewnętrznych zmaganiach, harmonia ducha jest niemożliwa do osiągnięcia. Liczba mnoga lub druga osoba liczby pojedynczej, do której zwraca się podmiot liryczny, wskazuje na uniwersalność sytuacji lirycznej, jej ponadczasowość, tyżącą się ogółu ludzkości. *Karmazynowy poemat* to odwołanie do romantycznej poetyki, do romantycznych symboli i mitów, nawet jeśli byłyby już archaiczne i skostniałe, Lechoniowi nie chodźło bowiem o wychodzenie naprzeciw oczekiwaniom czytelników — pragnął spełnić klasycystyczną zasadę stosowności i doskonałości. Poeta w sposób szczególny wielbił literaturę romantyczną, będącą w jego opinii esencją polskości. Podkreślał jednoznacznie, że literatura polska posiada dzieła mogące równać się z najwybitniejszymi tekstami światowej klasyki (*Pana Tadeusza*, *Dziady*, *Chłopów*) — jest jednak, z racji na swą symboliczną specyfikę, mało rozumiana i znana w świecie, a przez to niedoceniana. *Karmazynowy poemat* jest tomikiem przepełnionym polsnością. Kolejny tom, *Srebrne i czarne*, porusza problemy jednostki, ale też zagadnienia uniwersalne, ogólne, ponadczasowe i odwieczne. Człowiek jawi się w nim jako marionetka losu, istota niespełniona, targana przeciwnościami, niemogąca zaznać ukojenia. Poeta ukazuje w tych wierszach złożoność ludzkiej natury, jej sprzeczności, tragizm, ból egzystencjalny. Śmierć i miłość to słowa-klucze tomu, przy czym miłość jest zarówno źródłem cierpienia, jak i potęgą nadającą sens życiu. Jednostka ludzka i ludzkość cała zarazem są niejako skazane na miłość i śmierć — dwie moce, którym umknąć nie są w stanie. Tom środkami ekspresji (inwersje, paralelizmy, hiperbole, oksymorony, antytezy) przypomina poezję barokową, tematyka, skądinąd barokowa (porównanie miłości i śmierci, wątki religijne i filozoficzne w kontekstach charakterystycznych dla literatury baroku), odnosi się również do romantycznego rozdarcia, bólu, przypisanej jednostce wrażliwej samotności. W obu zbiorach mamy do czynienia z klasyczną architektoniką, doskonałością formy, klarownością i dyscypliną stroficzną. W poezji tej nie ma

raczej buntu — jest stoickie pogodzenie się z losem i cierpieniem, uznanym za integralną część istnienia:

Kielichy wzniesmy w górę i pijmy na stypie,
Bo żal nasz byłby śmieszny, a skarga daremna,
Niech nas trupio spokojnych pochłonie noc ciemna,
A łopata grabarza milczących zasypie.³⁸

Oba tomy pomieściły mnogość refleksji osobistych, patriotycznych, filozoficznych, religijnych, egzystencjalnych, a także bogactwo odniesień i odwołań.

Jarosław Iwaszkiewicz, wspominając lata młodości, zauważa, że wówczas wszyscy za przykładem Antoniego Słonimskiego łudzili się, że „odrzucili z ramion płaszcz Konrada”, a Lechoń nie tylko tego płaszcza nie odrzucił, ale „zdawał się go jeszcze piękniejszy na swych plecach drapować”. Poetyka Lechonia nie mieściła się w ówczesnych tendencjach, a jednak wzbudzała zachwyt.³⁹ Ludwik Morstin natomiast zaznacza, że żaden z wielkich poetów nie zaczynał swej kariery pisarskiej od tak wybitnych utworów jak te pomieszczone w *Karmazynowym poemacie* czy w *Srebrnym i czarnym*. W kilkunastu zaledwie wierszach zawarł się nieznanym dotąd geniusz poetycki.⁴⁰

Przed maturą pisał Lechoń małe obrazki dramatyczne i inscenizacje, np. *W noc jesienną* (1915 r.), *W pałacu królewskim* (1915 r.). Po maturze zdanej w 1916 r.⁴¹ natomiast recenzje teatralne i krytycznoliterackie, współredagował *Pro arte et studio*, był członkiem *Koła Polonistów*, sekretarzem *Koła im. J. Kochanowskiego*, współtwórcą *Kawiarni pod Pikadorem*, Skamandrytą, redaktorem „Cykulika Warszawskiego”, sekretarzem PEN Clubu oraz sekretarzem redakcji „Pamiętnika Warszawskiego”. Ta lista nie wyczerpuje jednakże podejmowanych przez niego inicjatyw i pełnionych funkcji.

Lechoń nie był zainteresowany by jego poezja nadążała z duchem czasu. W jego anachronizmie wyczuwało się jak-

³⁸ J. Lechoń, *Toast*, [w:] *idem, W moim sercu...*, op. cit., s. 40.

³⁹ Zob. J. Iwaszkiewicz, *Lechoń*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 60–61.

⁴⁰ L. Morstin, *Jan Lechoń*, [w:] *ibidem*, s. 75.

⁴¹ Warto dodać, iż maturę zdał Lechoń dzięki ściadze z matematyki, którą dostał od kolegi na wyraźną prośbę ich nauczyciela. Natomiast oceny Lechonia na świadectwie ukończenia liceum były przeciętne.

by wizjonerstwo, przeczucie czegoś, co ma jeszcze nastąpić. Zupełnie jakby czuł, że ojczyzna nie tylko jest już po ważnych i przełomowych wydarzeniach, ale że czekają ją już wkrótce kolejne, równie dramatyczne. Stąd przywiązanie do postaci przełomowych w historii. To, co pozornie minione, było dla Lechonia kwestią wciąż otwartą, pobudzało go do zadumy, wzbudzało jego niepokój.

Wierzyński kolejny tom Lechonia — *Srebrne i czarne* — podsumował w następujący sposób: „*Srebrne i czarne* to najsmutniejsze w Polsce wiersze i nie wiadomo jak czytać je dzisiaj, kiedy znamy koniec życia Lechonia. Można by podejrzewać je o młodociany werteryzm, gdyby człowiek, który je napisał, nie włókł swojej rozpacz za sobą przez tak długie lata. Można domyślać się, ile jest w nich najbardziej intymnego, osobistego doświadczenia, powiedziałbym »personalizmu«, wtedy piękno ich nabiera cech okrucieństwa. Jakkolwiek je przyjąć, tragizm ich przykuwa nas i unieruchamia. Poeta, który miał tyle siły, że w pierwszym swoim słowie przemówił do wszystkich i oddał uniesienia narodu, w drugim mówił tylko za siebie i nieustraszenie schodził w przepaść samotnego człowieka”.⁴²

Także wygląd Lechonia nie pasował do czasów, w których poeta żył. Ferdynand Goethel postrzegał go jako „wyniosłego ducha”, którego przerażała nędza i pospolitość, choćby była pocziwa. Swoim wyglądem wzbudzał zadziwienie, a niekiedy sensację. Pewnego wieczoru szedł przez Starówkę, jak zwykł był — w czarnym paltociku i cylindrze na głowie. Wówczas jakaś staruszka krzyknęła na jego widok: „Jezusie Nazareński, jakie to ludzie są na tym świecie!”⁴³ W Nowym Yorku również nosił się Lechoń dziwnie. Przemierzał ulice zazwyczaj w przykrótkim, znoszonym, jakby z młodszego brata, czarnym garniturze i cylindrze. Poruszał się nieporadnie i niezdarnie, sadząc długie kroki, podrygując, przegięty do przodu.

Tadeusz Nowakowski zapamiętał Lechonia jako osobę nieprzystającą do otoczenia: „(...) widzę go znowu, wysokiego dystygowanego pana w czarnym (...) kapeluszu (...) zawsze ubranego na ciemno, z białym szalikiem wokół szyi, typowego »lepszego pana« z Warszawy przedwojennej, za-

⁴² K. Wierzyński, *O poezji Lechonia*, [w:] *Pamięci...*, op.cit., s. 56.

⁴³ Por. F. Goethel, *Lechoń*, [w:] *ibidem*, s. 89–90. Por. J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 237. Zapis z 12 III 1950 r.

błąkanego w Nowym Yorku. Idzie w zamyśleniu, w karku przygarbiony, ściskający w rękę białe rękawiczki. Nie zważając na wezbrane rzeki samochodów, na zgiełk śpiącego tłumu, dla podkreślenia, że tu nie przynależy, posuwa się spokojnym, starannie odmierzoną krokiem, jakby szedł na południowy spacer po Nowym Świecie lub przez Krakowskie Przedmieście. On jeden nie spieszy się, umyślnie się nie spieszy. Ten strój tak inny, ten krok tak inny, to cichy protest przeciw czasom i ulicom, które nie są jego. Nawet w tym dalekim, obcym mieście, gdzie wszyscy pędzą obłąkani, a czas jest tylko pieniądzem, zachował warszawski zwyczaj odprowadzania przyjaciół w stronę domu, długiego żegnania się z nimi na rogu ulicy, serdecznego powiewania kapeluszem, dopóki znajomek znad Wisły nie odpłynie w tłumie”.⁴⁴

Z dziwaczną powierzchownością szło w parze skomplikowane wnętrze. *Dziennik* już od pierwszych zapisów stanowi niepokojące świadectwo złych stanów psychicznych, z którymi borykał się Lechoń, wewnętrznej walki, prób odnalezienia siebie, własnego miejsca i celu, uporania się ze starymi traumami, niepokojami, z bezsennymi nocami, ubóstwem, samotnością. Jest pamiętnikiem po Lechoniu jako człowieku i twórcy.

Jak zauważył Loth, „znając tragiczny finał, w upływie czasu znacznym kolejnymi datami *Dziennika* słyszymy szelest piasku w nastawionej już klepsydry”.⁴⁵

Zapis z *Dziennika* z 29 IX 1950 r. stanowi złą przepowiednię i odzwierciedla stan psychiczny autora. Czytamy w nim: „Ja znam te Erynie — to one omal życia mi nie zabrały trzydzieści lat temu i teraz też mszczą się na mnie”.⁴⁶

Mowa tu o dawnej chorobie pisarza — rozstrojach nerwowych, depresjach, lękach, wahaniach nastroju, które miały finał w próbie samobójczej w 1921 r. Wówczas Lechoń zażył dużą dawkę weronału i, według świadectw, gdy poczuł, że jest z nim źle i wystraszył się, obudził brata i poprosił o pomoc. Dochodził do siebie w czasie wielotygodniowego pobytu w górskim sanatorium. Jak wiemy z zapisków twórcy, myśl o samobójstwie towarzyszyła

⁴⁴ Pod. za: W. Wyskiel, *op. cit.*, s. 128.

⁴⁵ R. Loth, *op. cit.*, s. 12.

⁴⁶ J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, s. 419.

mu także w późniejszych okresach życia. Poeta pisał wiele razy w *Dzienniku* o destrukcji płynącej nie tylko ze strony tajemniczych mocy, ale też z jego własnego wnętrza — o autodestrukcji, nad którą z trudem panował.⁴⁷

Z listów Lechonia do Anny Jackowskiej wynika jasno, że już w latach dwudziestych borykał się z niesprecyzowanym poczuciem samotności i rozstrojami nerwowymi. 11 września 1925 r. napisał: „(...) po fatalnie odbytej podróży (...) natrętna myśl o pierwszy raz takiej na odległość samotności — doprowadziła mnie do wyczerpania nerwowego — jakiego dawno nie pamiętam (...). Wczoraj miałem godzinę zupełnej duchowej frustracji i najgorszych myśli, jak bardzo jestem niepotrzebny, niedołączny i nieszczęśliwy”.⁴⁸

Relacjonując przeżycia z podróży do Florencji, 26 września 1925 r. wspominał Lechoń, iż „(...) wrażenia psuła zupełnie kliniczna melancholia i myśl głupia, za którą łatwo mogły iść jakieś decyzje, że już nigdy do kraju nie wrócę i że mnie życiowo tylko najgorsze czeka”.⁴⁹ W liście z wiosny 1931 r. natomiast donosił, że lekarz, który go badał, wydał bardzo złą opinię o stanie jego nerwów.

Zastanawiające, że są to odczucia człowieka tak młodego — dwudziestolatka, który podobnie jak dziecię z *Godziny myśli* Słowackiego, „ma sen całego życia”. Obrazu młodego Lechonia dopełnia wyznanie jego brata Zygmunta, który wspominał Leszka z tamtych czasów jako kogoś „smutnego, aż do bebeczków smutnego”.⁵⁰

Wyznania Lechonia z lat 20. brzmią nieco jak słowa doświadczonego życiem starca. W grudniu 1927 r. napisał do Jackowskiej z Warszawy: „[doznaję] (...) częstych (...) roztargnień wywołanych nerwami i, jak teraz na przykład, od paru tygodni — po grypie wynikłą depresją, z której oczywiście nikomu się nie chwalę — ale ona właśnie zabarwia mój stosunek do świata (...) nie jestem, niestety, ani tak zdrow, ani tak silny, jak przypuszczasz — i z tego płynie moje odsunięcie się od ludzi (wszystkich) — przez wstyd i niechęć wynętrzania się”.⁵¹

⁴⁷ Por. *ibidem*, t. III, s. 39. Zapis z 12 II 1953 r.

⁴⁸ J. Lechoń, *Listy do Anny Jackowskiej*, oprac. R. Loth, Warszawa 1977, s. 23–24.

⁴⁹ *Ibidem*, s. 28.

⁵⁰ J. A. Kosiński, *Album rodzinne Jana Lechonia*, Warszawa 1993, s. 162.

⁵¹ J. Lechoń, *Listy...*, op. cit., s. 54–55.

Według relacji Wierzyńskiego już dwudziestoletni Lechoń mówił często o samobójstwie, skarżył się na wyczerpanie nerwowe, zapowiadał, że nic nie napisze i że to koniec wszystkiego. Ale już po takich wyznaniach wpadał w inny nastrój, był dowcipny, zaśmiewał się gromko. Wydawało się wówczas, że jego depresje minęły bez widocznego śladu, a makabryczne groźby były czymś w rodzaju przekomarzania.⁵²

Narzędziem terapii dla zbolełego człowieka i artysty miał być *Dziennik*, pisany pod wpływem udzielonej Lechoniowi przed dwudziestoma ośmioma laty rady. Leczący go wówczas po nieudanej próbie samobójczej doktor Onufrowicz polecił mu, by pisanie traktował jako formę autoterapii, porządkowania myśli, przynoszącą ulgę rozmowę z sobą.

„Piszę co dzień bez przerwy te kartki — ale właściwie po co? Aby trzymać się w formie, aby się kontrolować (...)”.⁵³

W pierwszą rocznicę *Dziennika* jego autor podsumował: „Dziś jest rocznica tego dziennika. Stał mi się on już nałogiem i niemal obowiązkiem. Ani jednego dnia nie opuściłem, w tym sensie jest to dokument. Niestety! Nie stał się on dla mnie narzędziem przymusu, pracy, zawstydzającym mnie zwierciadłem, w którym odbijałyby się moje słabości, ulegające wszelkim w pisaniu przeszkodom. Nie uchronił mnie on też od ustępstw przed innymi demonami, przebranymi niewinnie za małe nałogi. Jest on obrazem chaosu myśli, uczuć i wrażeń, przez które z trudem przedziera się moja wola zbuntowania tego dzieła i siebie na jego obraz. Że nie jest on malowidłem, nawet szkicem naszych czasów, to już nie moja wina, tylko mego emigranckiego oddalenia od życia. I z tym wszystkim ten dziennik to teraz mój wierny towarzysz, niemal przyjaciel, o którym myślę z czułością niemal, wracając co dzień do domu, że on mnie czeka, że nie będę sam, że mam z kim pogadać — bez przymusu, o wszystkim ważnym i nieważnym. Twoje zdrowie, przyjacielu!”⁵⁴

Słowa te wskazują na dwie ważne kwestie, rzutujące na dalsze lata życia Lechonia, jego kondycję i wreszcie na dra-

⁵² K. Wierzyński, *Z pamiętnika poety*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 48.

⁵³ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 100. Zapis z 7 X 1949 r.

⁵⁴ *Ibidem*, s. 391–392.

matyczny koniec: okresy jego niemocy twórczej oraz jego samotność. Trudno policzyć ile dziennych zapisów poety zaczyna się od stwierdzenia, że nie może pisać:

„Od paru dni piszę z wielkim trudem”.⁵⁵ „Nic nie napisałem, ale siedziałem nad papierem parę godzin i w ten sposób oddaliłem się od innych myśli”.⁵⁶ „Dzień rozbity (...). Nic nie zrobiłem”.⁵⁷ „Próbowałem pisać — bezskutecznie”.⁵⁸ „Całe rano bezskuteczne ślęczenie nad papierem”.⁵⁹ „Nic mi się dzisiaj nie udało napisać”.⁶⁰ „Z największym trudem jedna zwrotka”.⁶¹ „Próbowałem pisać bez żadnego rezultatu, ohydna wilgoć w powietrzu, senność i wściekłość na siebie”.⁶² „Nic nie pisałem — zmęczony, rozbity, chcący uciec od siebie”.⁶³

Lechoń twierdził, iż pisać łatwo to prawie zawsze znaczy powierzać się zdawkowym wrażeniom. Wiedział, że sztuka rodzi się w bólu i skrajnych emocjach, które trudno przewidzieć. Zauważał, że są dni, kiedy złe stany psychiczne nie przeszkadzają mu w pisaniu, co więcej, dwa pierwsze tomiki także napisał w chorobie nerwów, *Srebrne i czarne* w sanatorium, *Mochnackiego* natomiast skończył z uczuciem wstydu i klęski.⁶⁴ A jednak te utwory odniosły wielki sukces czytelniczy. Zatem gdy Lechoń miał dobrą passę z pisaniem (pisał płynnie i dużo), zadawał sobie pytanie, czy to co stworzył będzie dobre, czy to jego krytycyzm „się zmęczył”. Zachęcał zatem sam siebie: „Pisz dalej, w imię Boże”.⁶⁵ Potrzebował też, jak każdy twórca, docenienia i pokłasku. Gdy udało mu się napisać kilkanaście stron, czuł nieodpartą potrzebę, by pokazać je komuś, kto by się „nimi zachwycił”, na przykład tak dobrze wyczuwają-

⁵⁵ *Ibidem*, s. 36. 9 IX 1949 r.

⁵⁶ *Ibidem*, s. 159. 23 XII 1949 r.

⁵⁷ *Ibidem*, s. 168. 31 XII 1949 r.

⁵⁸ *Ibidem*, s. 194. 27 I 1950 r.

⁵⁹ *Ibidem*, s. 208. 10 II 1950 r.

⁶⁰ *Ibidem*, s. 206. 8 II 1950 r.

⁶¹ *Ibidem*, s. 215. 17 II 1950 r.

⁶² *Ibidem*, s. 310. 31 V 1950 r.

⁶³ *Ibidem*, t. II, s. 470. 21 VI 1952 r.

⁶⁴ *Ibidem*, t. I, s. 59. 26 IX 1949 r. oraz s. 60. 27 IX 1949 r.

⁶⁵ *Ibidem*, s. 63. 29 IX 1949 r.

cej sztukę Zosi Kochańskiej.⁶⁶ Lechoń cieszył się z opinii Wierzyńskiego na temat *Wizy do Ameryki*, tym bardziej, że była to opinia pochlebna. Poeta przyznał, iż gdyby Wierzyński mniej mu powiedział na temat utworu, czułby się załamany, bo tak bardzo brak mu w Nowym Yorku czytelników. Nawet przyjaciele zdają się być obojętni. Na przykład Henryk Rajch również czytał tekst i nie skomentował go ani słowem.⁶⁷

W latach 50. analogii z dawnymi czasami było w życiu Lechonia więcej — przyznawał, iż chodzi mu po głowie wiersze, jakby powrót do spraw ze *Srebrnego i czarnego*. Zauważył, iż w powstającym wówczas wierszu *Jan Kazimierz* zamknięte są, niby w poetyckiej esencji: *Karmazynowy poemat* oraz *Srebrne i czarne*. Nadto, wymieniał rzeczy, które za jego życia pojawiły się jako sensacje techniki lub wyszły z mody, mając świadomość, iż dzisiejszy świat jest już zupełnie inny.⁶⁸ A zatem poeta dostrzegał progres wszystkiego niemal, co go otaczało, w swoim myśleniu poetyckim był jednak niezłomnym, niewzruszonym konserwatystą i klasykistą. Zanotować należy również podobieństwo stanów psychicznych dawnego i obecnego Lechonia — tę samą rozpacz, poczucie klęski i zawładnięcia tajemniczymi potęgami. Poeta czuł się zatem jakby był w fatalnym kręgu:

Złowrogi jest wieczorny chłód,
Ten wiatr wyjący jakby w trwodze,
I tajemniczy słychać chód
Jak trwożny tupot nóg na drodze

Dogasający zorzy pas
Jak przypomnienie bólów życia,
Widomy znak, że zamknął nas
Fatalny krąg, nie do rozbicia.⁶⁹

⁶⁶ Por. *ibidem*, s. 65. 16 IX 1949 r.

⁶⁷ *Ibidem*, s. 270. Zapis z 16 IV 1950 r.

⁶⁸ Por. *ibidem*, t. II, s. 21. 17 I 1951 r.

⁶⁹ J. Lechoń, [*** *Złowrogi jest wieczorny chłód*], [w:] *idem*, *W mym sercu...*, op. cit., s. 185.

Wbrew wszystkim złym odczuciom Lechoń powtarzał sobie, że żadne trudności nie oznaczają, że trzeba przestać pisać, ale też, że żadne zadowolenie nie świadczy, że coś się naprawdę udało. Czasową stabilizację psychiczną dały mu: pisanie i nieco lepsza sytuacja materialna. Natomiast wiele lat wcześniej, w Paryżu, czuł się dobrze dzięki systematycznej pracy i regularnym posiłkom. Ta, jak ją nazywał mechanizacja, była dla niego wówczas niezrównaną psychoterapią.⁷⁰

Znaczna część życia zesłała poecie na ucieczce przed pisanem z obawy, że nic z tego nie wyjdzie, że nie ma nic w sobie, że napisał już wszystko. Bezmoc twórcza nie wynikała z lenistwa i niesubordynacji Lechonia — jej przyczyn należy szukać o wiele głębiej — w lękach, bezsensowności i poczuciu totalnej życiowej klęski. 8 X 1950 r. poeta zaznaczył: „Dziś pierwsza prawdziwa klęska z pisaniem. Parę godzin przy stole bez żadnego rezultatu, bez możliwości skupienia myśli i wśród wszelkich najgorszych wahań i upadków wiary, że coś kiedykolwiek z tego wyjdzie. Mam pełną głowę innych spraw, ale normalnie powinienem być przez pisanie właśnie, przemóc tę obsesję. Mam uczucie spadłego na mnie nieszczęścia i w tej chwili po prostu strach przed drugim takim dniem jak dzisiejszy”.⁷¹

Bezpłodność twórcza była o tyle boleśnieszka, że pisanie pomagało Lechoniowi utrzymać jako taki stan ducha — gdy nie mógł pisać wzmagaly swój atak jego wewnętrzne demony: „Klęska zupełna. Żadnej łączności między zdaniem. Żadnej melodii, wszystko wątpliwe, wszystkie słowa bez siły, koloru. Każda myśl mogłaby być wyrażona inaczej. Całe zdania przeczytane chwilę po ich napisaniu wydają mi się nic nie znaczyć. Tak samo pisałem dwadzieścia pięć lat temu w podobnym do dzisiejszego stanie nerwów. Nie rzucam jednak złej roboty, męczę się z nią do końca — inaczej nie wiem, co bym zrobił, i pewno przestałbym pisać na Bóg wie jak długo, bojąc się nowej konfrontacji z klęską”.⁷²

⁷⁰ Przypomnijmy, że okres paryski był czasem beczynności pióra, zastąpionej żywym zaangażowaniem w promowanie kultury polskiej. Por. Lechoń, *ibidem*, t. I, s. 78. Zapis z 11 X 1949 r. oraz s. 80. Zapis z 12 X 1949 r.

⁷¹ *Ibidem*, s. 58. 25 IX 1949 r.

⁷² *Ibidem*, s. 108. 5 XI 1949 r.

Presja własna oraz czytelnicza by pisać teksty doskonale stawiała się do tego stopnia nie do zniesienia, że Lechoń w *Dzienniku* wypowiedział się wreszcie w tej kwestii jednoznacznie, oświadczając, iż wielu oczekuje, że po *Karmazynowym poemacie* i *Srebrnym i czarnym* ma on obowiązek pisać jeszcze lepiej. Tymczasem jest to niemożliwe. Może napisać jedynie coś większego rozmiarem — dramat poetycki lub poemat, ale w materii poetyckiej nie może dać nic lepszego niż dał.⁷³

Kilka tygodni po przybyciu do Rio de Janeiro miejscowa Polonia urządziła wieczór autorski Lechonia i Tuwima. Lechoń przeżywał dyskomfort psychiczny wynikający z faktu, iż znów będzie zmuszony do czytania starych wierszy. Ten wstyd stał się dla niego asumptem do napisania nowych strof, co zaskoczyło wszystkich, bowiem niepisanie Lechonia uznawano za chorobę nieuleczalną.⁷⁴

Oskar Harlecki nie ma wątpliwości, że z *Dziennika* wynika, iż Lechoń był świadom wypalania się własnego talentu. Gdy Harlecki napisał o Mickiewiczu, że po 1834 r. zamilkł, co było katastrofą, Lechoń zareagował oburzony, stwierdzając, że nie można mówić o katastrofie w przypadku twórcy, który ma w swoim dorobku takie arcydzieła jak *Pan Tadeusz* i trzecia część *Dziadów*. Zdaniem Harleckiego Lechoń poczuł się tymi słowami ogromnie dotknięty i wszedł z nim z ostrą polemikę, gdyż utożsamiał swą niemoc z niemocą wieszczą i pamiętał z jakim aplauzem przyjęto *Karmazynowy poemat*. Harlecki nie dał jednak za wygraną, konstatuując, iż jeśli nie otrzymaliśmy zamierzonej przez Mickiewicza kontynuacji *Pana Tadeusza* ani dalszych aktów *Dziadów* części trzeciej, która miała być dziełem życia wieszczą, o jego porażce twórczej i beczynnym piórze można mówić z całą pewnością.

Pisanie Lechonia wywodziło się z najgłębszych pokładów jego duszy, mając swoją genezę w odwiecznej melancholii i bólu. Czytamy w *Dzienniku*: „Dziś rano naszło mnie cierpienie duszy tak dotkliwe, że rady dać sobie nie mogłem. W radio grano *Noc petersburską* Ru-

⁷³ *Ibidem*, s. 401. 14 IX 1950 r.

⁷⁴ Zob. *ibidem*, t. II, s. 231. 5 IX 1951, s. 231.

binsteina, która przypominała mi zamierzchłe czasy (...) i moje wtedy dziecinne rozpacz bez powodów, od których zaczęły się moje wiersze. Taką samą rozpacz czułem teraz”.⁷⁵

Zdaniem Wojciecha Bałusa melancholia to nic innego jak przeświadczenie o niejasności, nieczytelności, zakryciu bądź braku fundamentu, na którym wznosi się nasza rzeczywistość.⁷⁶ Takie zdefiniowanie melancholii idealnie tłumaczy stany wewnętrzne poety. W innym ujęciu melancholia inscenizuje spektakl, w którym potrzebne są predyspozycje aktorskie i dzięki temu zadumany myśliciel potrafi wnieść się ponad świat i odgrodzić się, przybierając różne maski ironii i humoru.⁷⁷

Różne maski, kostiumy, opieranie się o dawne autorytety, to nie tylko próba ocalenia tego wszystkiego, co podlega rozpadowi, dość rozpaczliwa próba odzyskania rzeczywistości w dawnym kształcie, ale też antidotum na świadomość własnego przemijania oraz zaklinanie lęków, demonów, zagłuszanie bolączek. Lechoń, zatopiony w świecie klasycznej retoryki, mógł ulegać złudzeniu, że czas się zatrzymał, żeby potem zdać sobie sprawę, że tak nie jest i z tego powodu cierpieć:

Od żalu nie uciekniesz, nie ujdiesz goryczy,
I każda twa pociecha — to widmo przeszłości.⁷⁸

Presja bycia drugim Słowackim, wywierana przez matkę, podtrzymywana przez błyskotliwy debiut i zbyt wygórowane oczekiwania w stosunku do siebie, zaowocowały późniejszą blokadą twórczą. Po *Karmazynowym poemacie* zamilkł poeta na siedem lat.

Po latach Lechoń zapisał w *Dzienniku*: „Coraz więcej myślę o moim wychowaniu, o tym, co dostałem od rodziców, i widzę coraz jaśniej, jaki to miało wpływ na mnie. W najlepszych intencjach zrobiono ze mnie za-

⁷⁵ *Ibidem*, s. 80. 22 III 1951 r.

⁷⁶ W. Bałus, *Mundus melancholicus. Melancholiczny świat w zwierciadle sztuki*, Kraków 1996, s. 135.

⁷⁷ Pod za: M. Bieńczyk, *Melancholia. O tych, co nigdy nie odnajdą straty*, Warszawa 1998, s. 72.

⁷⁸ J. Lechoń, [*** *Od żalu nie uciekniesz*], [w:] *idem, Poezje zebrane*, op. cit., s. 85.

razem najbardziej nieprzystosowanego do życia poetę i postawiono mi najtrudniejsze, nieomal nieosiągalne mistyczne cele. Zrobiono mnie słabym i pragnącym wielkich dzieł i czynów. Właściwie moja matka chowała mnie na Julka Słowackiego. Myślę, że prawie świadomie. Że jego wady i słabości wydawały się jej piękne i gotowa była widzieć je we mnie”.⁷⁹

Sława i aplauz spadły na Lechonia dość wcześnie — człowiekowi o tak dużej wrażliwości i słabej psychice trudno było udźwignąć jej ciężar, co więcej — zaprezentować jeszcze większy poziom. Ambicja dorównania wieszczom była dla Lechonia miarą oceniania własnych tekstów, pragnął jak najlepiej i najtrwalej zapisać się w pośmiertnej pamięci. W listach do Tymona Terleckiego ubolewał poeta nad swym zbyt małym dorobkiem, kwitując, iż chciałby mieć więcej samodyscypliny, by dzięki niej polepszyć niejako swój nekrolog.⁸⁰

Smutek, melancholia, pytania o cierpienie obecne są już w pierwszych utworach poety, które pisał jako trzynastolatek. Wieczory i jesienna szaruga to ekwiwalenty jego stanów psychicznych. W uprawianej przez niego często liryce mąski postaci historyczne charakteryzują bliskie poecie stany psychiczne lub koleje życia. Dla liryki Lechonia znamieny jest nostalgiczny stosunek do przeszłości, przekonanie o zamkniętym, wypełnionym czasie:

Nie stanie się nic więcej. Już wszystko się stało.⁸¹

Nic mi nie pomoże na tęsknotę moją,

Już mnie żadne nieszczęście od niej nie oduczy.⁸²

(...) I poczułem nagle,

Że już nigdy nie będzie jak zeszłego lata.⁸³

Dla liryki Lechonia charakterystyczne jest również błędzenie, niemożność znalezienia dla siebie miejsca:

Co noc, gdy nas nuda bezbrzeżna ogarnia,

Gdy cześć jałową w myśli, w sercu pustkę mamy.

⁷⁹ *Ibidem*, s. 80.

⁸⁰ T. Terlecki, *Dwa profile Jana Lechonia*, [w:] *Pamięci...*, op. cit., s. 19.

⁸¹ J. Lechoń, *Toast*, [w:] *idem*, *Poezje*, oprac. R. Loth, Wrocław 1990, s. 30.

⁸² J. Lechoń, [*** *W złotych strzępach...*], [w:] *ibidem*, s. 39.

⁸³ J. Lechoń, [*** *Na niebo wypływają...*], [w:] *ibidem*, s. 37.

[.....]

I błędzimy bez celu po zamknięciu bramy.⁸⁴

Mówisz, że gniew mam w oczach. Bo po nocy błędzę

I darmo wzrok mój światła w ciemnościach wyglądam.⁸⁵

Lechonia nie opuszczało doświadczenie straty, począwszy od strat małych aż po ostateczne, pchające go do samounicestwienia:

Wiem, czego mi potrzeba: tęsknię za ojczyzną,

Której nigdy nie było i nie ma na mapie.⁸⁶

Ojczyzny na mapie nie ma — jej współrzędne geograficzne mieszczą się w sercu Lechonia, w ciągłych powrotach do przeszłości. Poprzez powroty, choćby tylko w myślach i słowach, usiłował on odzyskać dawny, utracony świat. W wielu lirykach rysuje się prawda, że wszystko już jest stracone:

Stracone, choćby jeszcze dni przyszły łaskawsze,

Pogrzebane, stracone, stracone na zawsze.⁸⁷

Pojąłem, że to prawda, że wszystko skończone.⁸⁸

Lechoń akcentował także niespójność między życiem a sztuką. Życie oznacza ból i nietrwałość, sztuka zaś trwałość i patos. Pierwsze niszczy, drugie scala — stąd wyjątkowa misja poety:

Wokoło tylko trwogi i troski tak liczne,

Ale ty się nie buntuj przeciw przeznaczeniu.

Spokojnie pisz do końca swe wiersze klasyczne,

Które wtedy są dobre, gdy cierpisz w milczeniu.⁸⁹

A nad ową otchłanią, gdzie się razem stacza

Zło i dobro i w trupiej rozkłada się pleśń,

⁸⁴ J. Lechoń, [*** *Co noc, gdy nas nuda...*], [w:] *ibidem*, s. 39.

⁸⁵ J. Lechoń, *Lenistwo*, [w:] *ibidem*, s. 44.

⁸⁶ J. Lechoń, *Chetmoński*, [w:] *ibidem*, s. 136.

⁸⁷ J. Lechoń, *Erynie*, [w:] *ibidem*, s. 154.

⁸⁸ J. Lechoń, *Wieczór o Salamance*, [w:] *ibidem*, s. 78.

⁸⁹ J. Lechoń, *Jabłka i astry*, [w:] *ibidem*, s. 96.

Głos się wznosi, co wszystko wskrzesza i przebacza:
„Ach! musi umrzeć w życiu, co ma powstać w pieśni”.⁹⁰

W Nowym Yorku wiele czasu pochłaniała Lechoniowi działalność filantropijna — pomoc dla Polonii rozrzuconej po świecie — jak również pogoń za ciężko zdobywanym pieniędzem. Poeta brał udział w wielu polonijnych audycjach radiowych, tłumaczył scenariusze, a mimo to ciągle borykał się z biedą i kupował ubrania m.in. w sklepach z rzeczami wybrakowanymi: „Wczoraj skończyły mi się pieniądze na ten miesiąc i miałem przed sobą tydzień kłopotów. I wczoraj przyszedł człek, którego oczekiwałem za jakieś dwa tygodnie dopiero. To jeden z tych przypadków, które najbardziej pomagają znieść życie. To, czego nam trzeba najbardziej to złudzenie, że życie jest bajką, że jeśli są jakieś podle czarownice, które nie pozwalają nam zrobić tyle, ile nam potrzeba, to są też i dobre wróżki, które przysyłają czeki wtedy akurat, kiedy najbardziej nam się przydadzą”.⁹¹

Pożyczanie pieniędzy upokarzało zawsze bardzo Lechonia, uświadamiając mu jego wygnanie, obcość w Nowym Yorku, samotność i bezradność. W ostatnich miesiącach życia borykał się z problemami finansowymi dużo częściej: „Dziś musiałem pożyczyć pieniędzy. Ohydne uczucie, zaraz po tej operacji dostałem skurczu kiszek, którego bodaj od paru lat nie doświadczył”.⁹²

Paradoksalnie — człowiek, który wyświadczał pomoc finansową wielu potrzebującym — nie potrafił zapewnić sobie bytu materialnego. Lechoń korzystał z pomocy przyjaciół, którym z wdzięczności dedykował swoje wiersze.

Dla dopełnienia obrazu osobowości Lechonia warto dodać, iż Serafinowiczowie utrzymywali, że pochodzą ze starej kresowej szlachty polskiej lub arystokracji żydowskiej.⁹³

⁹⁰ J. Lechoń, *Poezja*, [w:] *ibidem*, s. 129.

⁹¹ J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, t. I, s. 58. 25 IX 1949 r.

⁹² *Ibidem*, s. 429. 11 XI 1950 r.

⁹³ Poświadczonym w dokumentach faktem jest, że Serafinowiczowie wywodzą się z herbu Podbóg. Przodkowie Lechonia pochodzą z rejonów Międzyrzecza Podlaskiego. Dziad Lechonia, Józef, syn Serafina, urodził się w 1793 r. Był żołnierzem wojsk Księstwa Warszawskiego, brał udział w bitwach pod Smoleńskiem i Borodino, w czasie powstania listopadowego pełnił także funkcję podporucznika. Ojciec Lechonia, Dionizy Władysław, był jego najmłodszym dzieckiem z drugiego małżeństwa, urodził się 9 X 1860 r. (zmarł 25 X 1938 r.) Jan Le-

Ojciec Lechonia w chwili narodzenia drugiego syna był pracownikiem dyrekcji kolei warszawsko-wiedeńskiej, zaś od 1918 r. zarządzał przytułkiem dla starców na Nowym Mieście. Przytułek ów mieścił się na ul. Przyrynek 4. Młody poeta mieszkał tam od roku 1918 aż do wyjazdu do Paryża w roku 1930. Ojciec Lechonia z zamiłowania był działaczem społecznym, angażował się w wychowanie i edukację najuboższych dzieci, działał m.in. w Towarzystwie Kolonii Letnich. Matka była nauczycielką i wychowawcą w zakładzie naukowym żeńskim (szkoła Jadwigi Sikorskiej), pracowała także w kancelarii Państwowego Instytutu Pedagogicznego oraz w sekretariacie Politechniki Warszawskiej.

Lechoń, choć przez całe dzieciństwo i młodość żył bardzo skromnie (od ok. 1917 r. rodzina zmuszona była stołować się w miejskiej garkuchni), w późniejszych latach unikał towarzystwa zwykłych, czy też biednych ludzi, odnajdując swe miejsce na salonach, w otoczeniu osób cenionych i znanych⁹⁴.

Przyjaciele poety⁹⁵, wspominając go, mówili otwarcie, iż mimo własnych problemów finansowych był snobem. Musiał znać wszystkich i bywać wszędzie, a ściślej mówiąc — pod najlepszymi adresami. Prawdopodobnie potrzeba taka nie wynikała jedynie z faktu, że miał szerokie horyzonty i pragnął je pogłębiać, ale także z gorączkowego pragnienia zagłuszenia własnych lęków, cierpień, zastąpienia niemocy twórczej bywaniem i pokazywaniem się. Znajomi tolerowali jego raniące innych, niesprawiedliwe traktowanie i mimo to rozpieszczali go. Co więcej, kiedy jego koledzy parali się różnymi zajęciami zarobkowymi, Lechoń radził sobie świetnie będąc bez grosza. Jednak już u młodego poety, w skromnym domu rodzinnym, bywali znakomici goście — artyści i politycy. Lechoń mawiał nawet, że decyzję o wyjeździe do Paryża podjął wówczas, gdy zaczął wyliczać osoby, z którymi jest w Warszawie na „ty” i doszedł do trzystu nazwisk.

choń zaś urodził się 13 III 1899 r. w Warszawie, jako drugi z trojga synów. Matka poety, Maria Anna Niewęgłowska, pochodziła z herbu Jastrzęb. Według źródeł archiwalnych urodziła się w 1864 r., na jej grobie widnieje jednak rok 1870. Zmarła 5 VII 1942 r.

⁹⁴ Sam pisze o tym w: J. Lechoń, *Dziennik, op. cit.*, t. I, s. 100–101. Zapis z 27 X 1949 r.

⁹⁵ Opinie takie znaleźć można we wspomnieniach większości przyjaciół Lechonia. Oceniali go tak m.in. J. Iwaszkiewicz, *op. cit.*, s. 54 oraz J. Sakowski, *Kwiaty i popioły, [w:] Wspomnienia..., op. cit.*, s. 102.

Wyskiel nazywa Lechonia dandysem. Ta „dandysowość” co prawda nie pasuje do lechoniowej dbałości o pozory, o to, co wypada⁹⁶, ani do klasycystycznej dbałości o każdy detal, wpisuje się jednak w jego zamiłowanie do blichtru, efektowności, teatralizacji i maski, w pragnienie bycia rządcą dusz. Lechoń miał wiele osobowości, lecz te dwie: egocentryka-dandysa oraz patrioty-wieszczka, dominowały. Jego egzystencja była próbą pogodzenia tych dwóch światopoglądów, dwóch twarzy. Wielotwarzowość Lechonia prowadziła do ciągłych kryzysów tożsamości, zdegustowania sobą samym⁹⁷.

Lechoń-dandys był buntownikiem, nie znosił sprzeciwu, obsesyjnie bał się starości, nosił się we fraku i kapełuszu, bywał na salonach, cierpiał w otoczeniu zwyczajnych ludzi lub wówczas, gdy sytuacja życiowa zmusiła go do pożyczania pieniędzy. Lechoń patriota-wieszcz kreślił *Karmazynowy poemat* z właściwą sobie miłością ojczyzny i pietyzmem, a na emigracji usiłował odtworzyć jak najwierniej polską rzeczywistość, zajmował się wyłącznie sprawami polskimi i na rzecz ojczyzny działał. Miał nabożeństwo do polskiej historii i kultury, nadto, widział w niej swoje własne miejsce jako przewodnika dusz, strażnika ducha polskości.

Lechoń patrzył na rzeczywistość i otaczających go ludzi na zasadzie gradacji i hierarchizacji, przebywał w towarzystwie tych osób, które zajmowały znaczące miejsca na drabinie funkcji i zaszczytów, wpisywały się w jego swoiście rozumiane *sacrum*. Pragnął pojawiać się tylko w miejscach wyjątkowych, z wyjątkowymi ludźmi, przy okazji wyjątkowych wydarzeń. Inklinacja ta zaowocowała u niego skłonnością do przesady, do hiperbolizacji zjawisk, uczuć i emocji. Ktoś „zwykły” nie był przez nie-

⁹⁶ 5 IX 1952 r. Lechoń zapisał w *Dzienniku*, co wypada, a co nie wypada, to była najważniejsza ze spraw jego młodości. W dużym stopniu wyniósł tę obsesję z domu. W podświadomości czuł się Słowackim, którym chciała go mieć jego matka, zatem zanim coś zrobił, myślał, czy to wypada Słowackiemu, czy Słowacki mógłby tak postąpić, zob. *op. cit.*, t. II, s. 527. Wczesne poetyckie zaniemówienie mogło zatem wywołać w Lechoniu kompleks i niskie poczucie własnej wartości, które zaowocowało potrzebą ciągłego wcielania się w maski, role, korzystania z rekwizytów. Zupełnie jakby bez tego wszystkiego był w swych oczach niepełnowartościowy.

⁹⁷ W. Wyskiel, *op. cit.*, s. 94–95.

go dostrzegany, szanowany, zaakceptowany, wysłuchany — zasługiwał na ostry sprzeciw i odrzucenie. W sferze własnych uczuć i emocji posługiwał się skrajnościami: radość — rozpacz, uwielbienie — nienawiść. Skrajności Lechonia mogły wynikać z chęci upamiętnienia się poprzez sensację i mnogość kreacji, z pragnienia zmitologizowania własnej postaci, uczynienia jej podmiotem licznych anegdot. Taka była też jego śmierć — ostateczny akord sensacji i zaskoczenia. Sobie także stawiał poprzeczkę wysoko — pragnął pisać rzeczy godne wieszczka. Kiedyś dowcipnie skonstatował, iż Michał Anioł miał trzydzieści siedem lat, kiedy namalował plafon sykstyński. „Nie mam się za Michała Anioła — napisał — ale trzeba sobie raz po raz powtarzać: „A ty?”⁹⁸

Choć miał liczne grono życzliwych osób, całymi latami towarzyszyło Lechoniowi poczucie osamotnienia, borykania się w pojedynkę z problemami egzystencjalnymi i szamocącymi go wewnątrz siłami. Pod wpływem różnych, czasem złowrogich, imperatywów zewnętrznych wycofywał się coraz bardziej w przestrzeń życia wewnętrznego, podlegał stopniowemu rozpadowi, tracił kontrolę nad swoim życiem, by wreszcie zdecydować się na krok najradzykalniejszy i ostateczny — samouniwersytetowanie. Co prawda lata 50. to w życiu poety okres wzmożonej pracy twórczej, ale też czas nieszczęśliwej miłości, zatarczek z przyjaciółmi, niezrealizowanego wyjazdu na europejski Kongres Intelktualistów, zakończonych z fiaskiem prób ukończenia *Balu u Senatora*, *Godziny Przestrogi*, *Porwania Harrisona*, a także problemów z uzyskaniem obywatelstwa amerykańskiego. Wówczas bowiem wyszła na jaw kwestia homoseksualizmu Lechonia, orientacji seksualnej w ówczesnych czasach piętnowanej i nietolerowanej. Poeta zastanawiał się na kartach *Dziennika* czy zasłużył sobie na ciągłe „uderzenia po łbie”, których ostatnio doznaje od losu, tym bardziej, że mógłby wskazać stu swoich znajomych, którym, nie wiadomo dlaczego, wiedzie się lepiej niż jemu.⁹⁹

Życie Lechonia zdawało się być zawieszone między kolejnymi bezsennymi, męczącymi nocami:

⁹⁸ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 351. Zapis z 18 VII 1950 r.

⁹⁹ *Ibidem*, s. 465. 17 XI 1950 r.

Co noc, gdy już nas nuda bezbrzeżna ogarnia,
 Gdy czczość jałową w myśli, w sercu pustkę mamy,
 Wypluwa nas na miasto knajpa lub kawiarnia
 I błądzimy bez celu po zamknięciu bramy.

A potem: łomotanie czasem półgodzinne,
 Nim wreszcie stróż zaspany obudzić się raczy,
 I myśl: zabłądzić w końcu przed drzwi jakieś inne,
 Co prowadzą do „Lepiej” lub choćby „Inaczej”.¹⁰⁰

Z każdym miesiącem pisania *Dziennika* pojawiała się coraz więcej niepokojących sygnałów dotyczących stanu ducha poety, niezrozumiałych dla niego samego, tj. zmęczenie, rozdarcie, niemoc, rozdwojenie, apatia — zupełnie jakby Lechoń kierowały (czy wręcz opętały go) obce mu i wrogie siły: „Czy to możliwe — żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego niepojętego rozdwojenia, które mnie rozdziera, którego sensu nie rozumiem, a które tyczy się wszystkiego we mnie: myśli, uczucia i zmysłów? Każda praca bardziej wytężona i każdy niemal wiersz naprawdę dobry okupione są tym jakby odejściem od siebie, tym powierzeniem się jakimś tajemniczemu mocom, które mnie ssą jak wampiry i pozostawiają potem w pustce i bez jakiegokolwiek radości z tego, co uczyniłem”.¹⁰¹

Te tajemnicze moce zwał Lechoń symbolicznie Eryniami. Jawiły się one jako jego obsesja, były mu naznaczone, znane jeszcze od czasów młodości — od dawna je przeczuwał, wiedział o nich, z niepokojem na nie czekał. A mimo to nie był na nie przygotowany:

Wiedziałem, o Erynie, że kiedyś przyjdziecie,
 Lecz myślałem że takie jak wiedźmy w *Makbecie*,
 Spodziewałem się gromów, wichrów dzikich świstu,
 A tutaj nagle z kartki zapomnianej listu,
 W kapeluszach z wstążkami, w rękach niosąc cynie,
 Pod ogrodu drzewami stajecie, Erynie!
 To mojego dzieciństwa jarzębiny krwiste,
 I te już nie noszone szale powłóczyście,

¹⁰⁰ J. Lechoń, [*** *Co noc, gdy już nas nuda...*], [w:] *idem, Poezje, op. cit.*, s. 39.

¹⁰¹ J. Lechoń, *Dziennik, op. cit.*, s. 78.

I owo romantyczne głowy pochylenie,
O którym nie ma mowy już nawet na scenie;
Z klonów liście się sypią, a wy w moją stronę
Idzicie, o Erynie, wołając: „Stracone!”
Stracone, choćby jeszcze dni przyszły łaskawsze,
Pogrzebane, stracone, stracone na zawsze.¹⁰²

Erynie towarzyszyły Lechoniowi przez całe życie, z różną mocą dając mu znać o swojej obecności. Poeta z powodu wieku i niedoleczonych starych zdrowotnych przypadłości podupał na zdrowiu.¹⁰³ Nie leczył się zwykle dlatego, że nie miał na to pieniędzy. Złe samopoczucie przywoływało lęki z dawnych lat: „Ponieważ nie mam nikogo — notował 1 IX 1949 r. — kto by mi powiedział: »imaginacja« i tym od razu uspokoił, więc poddaję się tym złym wspomnieniom. Z tego wszystkiego prawie nic dziś nie mogłem napisać (...)”.¹⁰⁴

Imaginacja i nierzeczywiste problemy to kwestie powtarzające się w wypowiedziach poety. Jego niestabilność psychiczna wynikała często z faktu, iż w jego wyobraźni drobne niedogodności urastały do dramatów. W *Dzienniku* mamy kilkadziesiąt zapisów, w których Lechoń przyznaje, że nagle, nie wiadomo skąd pojawiała się w jego imaginacji jakaś sprawa, która uniemożliwiała mu normalne funkcjonowanie przez wiele godzin. Gdy jego wyobraźnia wzięła jakiś kierunek, trudno ją było z niego zawrócić. Byle głupstwo potrafiło zachwiać psychiką Lechonia, co tłumaczył sobie smutnymi doświadczeniami i mechanizmem powstałym w jego umyśle dzięki tym doświadczeniom.¹⁰⁵

Co więcej, pocie towarzyszyło natręctwo związane z poczuciem zbliżającej się starości. Rozpacz Lechonia

¹⁰² J. Lechoń, *Erynie*, [w:] *idem*, *W moim sercu...*, *op. cit.*, s. 154.

¹⁰³ 5 III 1950 r. Lechoń napisał: „Bóle głowy, mdłości, łamanie w kościach, bólą też zęby bardzo już zaniedbane”, J. Lechoń, *ibidem*, s. 230.

¹⁰⁴ *Ibidem*, s. 27.

¹⁰⁵ Por. J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, t. II, s. 8. Zapis z 4 I 1951 r. oraz *ibidem*, s. 225. 29 VIII 1951 r. O przesadzie Lechonia w wyciąganiu tragicznych wniosków i generalizowaniu świadczy zajście, w czasie którego Lechoń poróżnił się z Wierzyńskim o sprawy literackie i był potem smutny jakby spotkało go wielkie nieszczęście. Podsumował, iż tu nie chodzi przecież o literaturę — takie różnice zdań to dowód, że człowiek jest sam i że nikt go nie rozumie.

potęgowało przekonanie, że życie przeleciało mu przez palce, nie wykorzystał go w takiej mierze, jak powinien i nie zdąży już tego naprawić. Zbliżająca się starość (mówił o niej o wiele za wcześniej — gdy był jeszcze w sile wieku) stanowiła dla poety zaskoczenie: „To co mnie gnębi od dawna to jest zbliżanie się starości, jakby ściana wyrosła między mną a życiem. (...) Wiem, że nie (...) naprawię drogi mego życia, o której przecież słusznie (...) powinienem być powiedzieć, że była drogą klęski”.¹⁰⁶

„Obsesja starości, która odchodzi na parę godzin i powraca, ataki przeraźliwego smutku — bo żyłem tak, żem się do żadnej starości nie przygotował, i nie wiem, co zrobić bez młodości mojej i cudzej”.¹⁰⁷ W innym miejscu czytamy, iż widok zęba, który wypadł wzbudził w Lechońu przestrasz starości i fizycznego zniszczenia, ale przyniósł także poczucie, że teraz właśnie ma tyle do napisania, i że potrafiłby to wszystko wykonać.¹⁰⁸

Rekonwalescencja ze złych stanów ciała i ducha trwała długo, pocie brakowało wsparcia oraz asumptu, by zebrać siły i czekać na lepsze jutro. Powroty od przyjaciół, przez których bywał przygarniany na kilka dni uświadamiały mu, że nie ma do kogo i gdzie wracać: „Jutro trzeba wyjeżdżać. Nie wracam do domu, bo Nowy York i moje mieszkanie nie są domem. Czy to moja wina, że nie mam nikogo, kto by do mnie należał i do kogo ja bym należał. Myślę, że zrobiłem ostatnimi laty wszystko, aby tak było — ale nie ma takich więzi ze sprawami mieszkania, kuchni, pieniędzy, które by mnie mogły związać naprawdę. A one przecież tworzą to, co się nazywa domem”.¹⁰⁹

W *Dzienniku* natrafić można na dziesiątki zapisów traktujących o samotności poety. Być może właśnie samotność i brak oparcia w kimś naprawdę bliskim sprawiły, że Lechoń nie potrafił odnaleźć swojego miejsca w świecie w ogóle, a także na emigracji, towarzyszyło mu poczucie, że nie ma dla kogo żyć.

Mimo permanentnego poczucia zagubienia, Lechoń doceniał życie i umiał się nim cieszyć. Marian Hemar za-

¹⁰⁶ *Ibidem*, t. III, s. 669–670. 29 VIII 1955 r.

¹⁰⁷ *Ibidem*, s. 662. 16 VII 1955 r.

¹⁰⁸ Por. *ibidem*, t. I, s. 62. 28 IX 1949 r.

¹⁰⁹ *Ibidem*, s. 84. 15 X 1949 r. Chodzi o powrót z Waszyngtonu, w którym Lechoń przebywał od 7 X.

chował wspomnienie rozmowy z poetą, w czasie której Lechoń wyznał mu, że im dłużej żyje, tym więcej czuje w sobie wdzięczności za „każdy dzień życia, za samo szczęście istnienia, za samą radość oddychania, słuchania, patrzenia”.¹¹⁰ Poeta doznawał stanów błogości, w których czuł ludzką bliskość idącą do niego z własnego wnętrza. Rozumiał wówczas, iż szczęściem jest nie tyle być kochanym, co kochać samemu. Zaznaczał w *Dzienniku*, jak ważne jest by dać z siebie wszystko, nie poddawać się, nie zgubić własnej drogi. Jego zdaniem droga do szczęścia jest drogą własną — indywidualną. Poeta przestrzegał zatem, iż na drogę szczęścia nie można wchodzić z założeniem, iż spotkamy tam kogoś, kto pójdzie z nami, poda nam rękę. *Homo viator* zmierzający ku szczęściu może być bowiem samotnym pielgrzymem.¹¹¹ W *Dzienniku* nie brak też zapisów dowcipnych, pełnych humoru, wynikającego z dystansu Lechonia do samego siebie i z autoironii, a także opisów zabawnych sytuacji widzianych okiem wprawnego i dowcipnego obserwatora.

Lechoń nie dojrzał nigdy by zmagać się z życiem. Przerastały go „procedury” związane z zarabianiem pieniędzy, raziły bezduszość i egoizm, bolała trudna sytuacja ojczyzny i kiepskie położenie w roli emigranta. Był zagubiony w świecie, o czym pisał w utrzymanym w żartobliwym tonie wierszu pt. *Święty Antoni*:

Twój brunatny samodziół
Widzę: idziesz po niebie.
Patrz, gdzie się zapodział,
Bo zgubiłem sam siebie.¹¹²

Fascynowały go dzieci.¹¹³ Z okna nowojorskiego mieszkania obserwował je radośnie wybiegające ze szkoły, lu-

¹¹⁰ M. Hemar, *List o Lechoni*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 193.

¹¹¹ Por. J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 79. Zapis z 10 X 1949 r. oraz s. 106. Zapis z 1 XI 1949 r.

¹¹² J. Lechoń, *W mym sercu...*, op. cit., s. 133.

¹¹³ Świadectwem lechoniowego zachwyty i roztkliwienia osobą dziecka jest następujący zapis: „Mała dziewczynka, może dziesięcioletnia, w autobusie — zjawisko z Wojtkiewicza, Andersena, bajka i najbardziej wyrafinowane nowoczesne malarstwo. Miała długie blond włosy, a na nich różowy kapelusik z kwiatkami w jakiś vuillardowskich czy bounardowskich kolorach, podwiązany pod szyjką różową

bił konwersacje z maluchami w czasie jazdy autobusem i spacerów, z nieukrywaną satysfakcją żartował z dziećmi przyjaciół. Także w sobie odkrywał pierwiastek dziecka:

Coś we mnie mówi ciągle: „Zbieraj wreszcie plony,
Rządź się w końcu mądrością, już się wyszumiał”.
Nie słucham tego głosu. Wciąż bardziej zdziwiony,
Żyję tylko tą myślą, że nic nie rozumiem.

I na dnie każdej prawdy widzę rzeczy ciemne,
I w każdej słyszę ciszy okrzyk nieprzebrniały.
Wszystko wciąż mi się zdaje wielkie i tajemne,
Jak pagórki Ojcowa, kiedy byłem mały.¹¹⁴

Lechonia bardzo łatwo było zranić. Jako nadwrażliwiec kończył znajomość, gdy ktoś boleśnie go dotknął, gardził dwulicowością i fałszem. Przyjaciele poety dają jednakże niechlubne świadectwo o jego egoizmie, akcentując, iż potrafił wykorzystywać ludzi, „tak ukształtować swoje otoczenie, by mieć przy sobie ludzi dzielących się obowiązkami polegającymi na opiekowaniu się, wspieraniu i dopieszczaniu »niezaradnego« poety”.¹¹⁵

Wierzyński dwa lata po śmierci Lechonia napisał do Juliusza Nowakowskiego, iż Lechoń był „(...) mistrzem w zabijaniu pewności u ludzi, to była jego specjalność, zadeptywał ich do nizin, a potem łaskawie podnosił i przywracał do łaski. Dlatego miał tylko przyjaciół-niewolników (...)”.¹¹⁶

Lechoń był także introwertykiem — dowcipny, duża towarzystwa, gotów do wysłuchania każdego, kto go potrzebował — dusił w sobie swoje demony i duchowe męki. Zachowała się jego korespondencja z Rafa-

gazą. W rączkach trzymała jakieś tajemnicze paczuszki, do których wciąż zaglądała. Patrzała przed siebie ze smutkiem dorosłej osoby, w cudownej, wzruszającej miniaturze. To temat do wiersza dla bardzo czystego poety. Gdzieś w powieści można by ją opisać tak po prostu, jak ją widziałem, jako zaczarowaną dziewczynkę w tym mieście bez czarów”. J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, s. 267. Zapis z 12 IV 1950 r.

¹¹⁴ J. Lechoń, *Ojców*, [w:] *ibidem*, s. 146.

¹¹⁵ W. Wyskiel, *op. cit.*, s. 39.

¹¹⁶ *Ibidem*, s. 41. Podobną opinię wydał o poecie także Z. Czernański, *O Leszku*, [w:] *Pamięci...*, *op. cit.*, s. 46. Zbieżne informacje znaleźć można w relacjach wielu osób z otoczenia poety.

łem Malczewskim, pochodząca z lat 50., z okresu, gdy malarz borykał się z postępującą chorobą i biedą. Znamość ta przerodziła się w układ o charakterze terapeutycznym — Lechoń, sam będąc coraz bliżej rozpacz, wspierał Malczewskiego w listach oraz organizując dla niego zbiórki pieniędzy. Po śmierci poety Malczewski podsumował: „Uczynił wiele, bym wrócił do życia. Pomógł mi wydzwignąć się z dna beziły i rozpacz. Wydobył mnie spod gruzów zawalonego świata marzeń, złud, zasłon, dzielących nas od oblicza śmierci. Stał się przewodnikiem istoty nękanej »Eryniami« (...). Mam owe listy (...) zawierające litanie wskazówek, jak się bronić właśnie przed tym, co jego samego zgubiło. Śmierć miał straszną. Wszystko, czym mnie ratował, okazało się pustym dźwiękiem, (...) losy niosły mu zagładę, nie miały litości nad człowiekiem tak bardzo kochającym życie w każdym objawie. Bał się śmierci i tak bardzo jej nie chciał. A przecież wyszedł jej na przeciw”.¹¹⁷

Jednak zapisy z *Dziennika* prowadzą do wniosku, iż trudne stany Malczewskiego uważał Lechoń za naturalne i przysługujące artyście. Słowa te odnosić można zatem i do samego Lechonia — rozumiejąc neurastenię i okresy „martwego pióra” za objawy artystycznej jego natury. Czytając je mamy bowiem nieodparte wrażenie, że czytamy o Lechoni: „Rafał Malczewski od paru lat (...) pisuje do mnie co pewien czas listy rozpaczliwe o zbliżającej się śmierci, o zmarnowanym życiu, o samotności bez granic, listy świadczące, moim zdaniem, o tym, że on właśnie czuje tak, jak normalnie powinien czuć pisarz, artysta, że ze wszystkimi swoimi fobiami, nerwową ślepotą, atakami wariackiej mizantropii — wie on lepiej niż inni, o co chodzi naprawdę. Moda, która przysłała po młodopolskim rozhisteryzowaniu, na solidarność, na pracę, systematyczne zarobki, wierszyk co dzień, doszła do takiej samej karykatury, co nastroje zakopiańskich peleryniarzy”.¹¹⁸

W chwilach, gdy było w Lechoni mało wiary i nadziei na lepszą przyszłość, gdy walczył z coraz bardziej zaznającymi swą obecność Eryniami, wspierał Malczew-

¹¹⁷ List z 9 VI 1956 r., pod. za: B. Dorosz, *Coraz trudniej żyć, a umrzeć strach. O dramatycznej przyjaźni poety i malarza*, Warszawa 2008, s. 24–25.

¹¹⁸ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. III, s. 467. Zapis z 27 IX 1954 r.

skiego w następującym tonie: „Nie ma na nie [problemy] innej pociechy, niż trzymanie się życia, które nigdy nie jest całkiem złe — tylko trzeba koniecznie zrobić wysiłek, aby tym złym jego stronom się nie poddać”.¹¹⁹

Jednocześnie dokumentował swoje doznania wewnętrzne: „Mam uczucie zupełnej wewnątrz pustki, ale zarazem nadzieję, czasem przecucie, że jest to nicość, z której może powstać coś nowego, że mogę coś stworzyć albo coś we mnie się stworzy. Tylko, że muszę z czymś zerwać, coś przekreślić, co już umarło, a leży we mnie jak trup, zajmując miejsce potrzebne nowości”.¹²⁰

Ówczesne zmagania poety nazwać można jeszcze dzielną walką, przypominającą tę sprzed trzydziestu lat:

Złowrogi jest wieczorny chłód,
Ten wiatr wyjący jakby w trwodze,
I tajemniczy słychać chód
Jak trwożny tupot nóg na drodze.

Dogasający zorzy pas
Jak przypomnienie bólów życia,
Widomy znak, że zamknął nas
Fatalny krąg, nie do rozbicia.¹²¹

Rozpacz odczuwana przez Lechonia wynikała, jak zazwyczaj, z samotności. Pisanie mogłoby pomóc, lecz przychodziło z trudem: „Bronię się przed rozpaczą, nazywając inaczej to, co inni nazywają po prostu moją straszliwą samotnością. Ale przecież jest ona faktem — nie mam nikogo na świecie poza Zygmuntem¹²², tak dalekim, i poza „najdroższą osobą”, którą sam przez ten szal przyzwycailem, aby obywała się beze mnie. Rozproszyć tę samotność mógłbym tylko dając

¹¹⁹ *Ibidem*, s. 82. List z 12 V 1953. Także Irena Lorentowicz wspomina Lechonia jako człowieka wrażliwego na potrzeby innych. Na dwa i pół miesiąca przed jego śmiercią miała w Nowym Yorku ważną i dużą wystawę swoich prac. Lechoń bardzo się w to przedsięwzięcie zaangażował, wspierał ją, pomagał, dodawał otuchy. Zob. I. Lorentowicz, *Odludki i poeta*, [w:] *Wspomnienia...*, *op. cit.*, s. 249.

¹²⁰ J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, t. II, s. 219. Zapis z 21 VIII 1951 r.

¹²¹ J. Lechoń, [*** *Złowrogi jest wieczorny chłód*], [w:] *idem*, *W moim sercu...*, *op. cit.*, s. 185.

¹²² Mowa o dwa lata starszym bracie Lechonia.

coś z siebie moim pisaniem. Ale właśnie tego nikt nie umie wziąć, nie powiem — nie potrzebuje. Nawet wyrazić siebie nie mogę, co by to było za szczęście — naraz odzyskać czytelników, czuć się potrzebnym”.¹²³

Będący z dala od rodziny, od lat pędzący samotne życie pisarz odnalazł zastępczy sens życia w swoich strofach, jednak i na tym polu doznał zawodu. I przyczyną nie był tu, jak pisał Lechoń, brak odbiorców, a paraliżujący go strach, że to, co wyjdzie spod jego pióra, może nie być wystarczająco doskonałe. Nadto, bywał rozkojarzony i zbyt rozbity by pisać: „Parę godzin zmarnowałem nad papierem, myślami gdzie indziej, a raczej nigdzie — nie mogąc się skupić na żadnej myśli i niechętny każdej. Od lat długich nie pamiętam takiej trudności pisania i takiej chęci ucieczki od papieru”.¹²⁴

To przesada — jak była mowa, w okresie nowojorskim powstała znaczna część dorobku Lechonia, a on sam miał za sobą o wiele gorsze okresy twórcze. Wiele strof powstawało całymi miesiącami, Lechoń kreślił je i poprawiał, by ubrać myśl i uczucia w najdoskonalsze, najżywsze słowo. List od Ignacego Matuszewskiego, w którym Lechoń odebrał komplement: „Teraz wiem, że to Tobie, poeto, powiedziano: *Exegi monumentum aere perennius* stanowił dla Lechonia asumpt do refleksji, iż nie ma nic lepszego niż dobrze zapisana kartka papieru.”¹²⁵

W tym czasie parał się jednocześnie pisaniem prozy. Rękopisy, pełne zamazań i skreśleń¹²⁶, świadczą o tym z jakim trudem przychodziło mu pisanie.

¹²³ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 134. Zapis z 21 V 1951 r.

¹²⁴ *Ibidem*, s. 330. 3 I 1951 r.

¹²⁵ Por. *ibidem*, t. I, s. 57. 24 IX 1949 r.

¹²⁶ Niezwykle interesujący jest zapis poety, który zauważa, że posługuje się innym charakterem pisma i fakt ten kojarzy z metamorfozami, które zaszły w jego życiu: „Wielkie zmiany w charakterze pisma. A raczej mam parę nowych charakterów pisma. Piszę na ogół coraz niewyraźniej i ręka mi się trzęsie — to pewno zmęczenie albo jakaś choroba (serca?). Ale poza tym są jakieś zupełnie nowe rzeczy w mej kaligrafii: jakieś zakrętasy, litery nie połączone albo po prostu wypadanie liter. Wiem, że to na pewno coś znaczy, bo wiem też, że są we mnie od paru miesięcy zmiany zupełnie przełomowe. To zdaje się już jest nawet naukowo uznane, że takie zmiany zawsze odbijają się w pisaniu”, J. Lechoń, *ibidem*, s. 49. Zapis z 15 XI 1949 r.

Lechoń milczał w *Dzienniku* o swoich związkach, pozostawiając jedynie kilka tajemniczych zapisów o „najdroższej osobie”, jednoznacznie wskazujących na jego uczuciowe zranienie i niespełnienie. Jednak cierpiał skrycie, i tak jak na ogół mieścił swe bóle na kartach *Dziennika*, tak tym razem oszczędnie gospodarował słowem, dając upust swym emocjom w poezji:

O! jak strasznie się wloką te długie godziny,
O! jak dzień pełen trwogi. O! jak noc milcząca.
Do dania mam tak wiele — połowę mej winy,
A dłoń mi ją kochana ze wzgardą odtrąca”.¹²⁷

Podmiot mówiący w wymownym liryku o incypicie *Pytasz co w moim życiu z wszystkich rzeczy główną* podejmuje znany w literaturze związek między miłością a śmiercią, jednocześnie odzwierciedlający jego kondycję psychiczną:

Pytasz co w moim życiu z wszystkich rzeczy główną...
Powiem ci: śmierć i miłość — obydwie zarówno.
Jednej się oczu czarnych, drugiej — modrych boję.
Te dwie są me miłości i dwie śmierci moje.

Przez niebo rozgwieżdżone, wśród nocy czarnej,
To one pędzą wicher międzyplanetarny,
Ten wicher, co dał w ziemię, aż ludzkość wydała
Na wieczny smutek duszy, wieczną rozkosz ciała.

Na żarnach dni się miele, dno życia się wierci
By prawdy się najgłębszej dokopać istnienia –
I jedno wiemy tylko i nic się nie zmienia
Śmierć chroni od miłości, a miłość od śmierci.¹²⁸

Do dziś owianym milczeniem źródłem cierpień Lechonia był jego skrywany przed otoczeniem homoseksualizm. Inność seksualna była wówczas piętnowana nie tylko obyczajowo, ale też prawnie — jak wspomniano, mogła przekreślać szanse na otrzymanie amerykań-

¹²⁷ J. Lechoń, [*** *O! jak strasznie się wloką te długie godziny*], [w:] *idem, W moim sercu...*, op. cit., s. 45.

¹²⁸ *Ibidem*, s. 39.

skiego obywatelstwa. Lechoń, świadom tego, pod nazwą „najdroższej osoby” (sporadycznie N.O.) kamuflował postać Aubreya Johnsona, traktując ją w *Dzienniku* zdawkowo i enigmatycznie. To, jak na Lechonia, dość dziwne — zawsze rozpisywał się o wspomnianych w diariuszu osobach szerzej, przytaczając najrozmaitsze fakty ich dotyczące. Związek z N.O. trwał od 1941 r. i był dla poety źródłem cierpień, ale też nadziei — przyznawał on, iż myśli o „najdroższej osobie” trzymają go przy życiu.¹²⁹ Lechoń co kilkanaście stron powtarzał jak mantrę, że „najdroższa osoba” jest wciąż najdroższa, kończąc to wypowiedzenie wykrzyknikiem, lub powtarzał afirmację: „kochać najdroższą osobę”. Imię Aubrey pojawia się co prawda w *Dzienniku* w różnych kontekstach, najczęściej wspólnych spotkań i wyjść towarzyskich, ale nigdy w kontekście podmiotu miłości. Aubrey jednak głęboko poetę wzruszał i rozczulał, jak wówczas, gdy Lechoń zastał go porządkującego bratki w wazonie. Lechonia ujęło jego wyczucie piękna. Poeta wiedział również dokładnie o której Aubrey wychodził do pracy i wracał z niej. Swój stosunek do „najdroższej osoby” sformułował jednoznacznie, pisząc, iż żywi bezmierną pobłażliwość dla jej przywar i rozczulenie aż do płaczu nad jej zaletami oraz współczucie bez granic dla jej kłopotów. Podsumował: „Byłem w niej kiedyś zakochany. Teraz ją kocham. To znaczy więcej”.¹³⁰ Samobójstwo poety jest bliskie w czasie z wyjazdem Aubreya na kilka miesięcy do Europy. Wyjechał on 31 III 1956 r.

Kwestia orientacji seksualnej poety nie jest jednak jednoznaczna. Co prawda w okresie nowojorskim osoby będące najbliżej poety wiedziały i trzymały w dyskrekcji fakt jego trudnego życia uczuciowego, ale z innych wspomnień wiadomo też, że w czasach młodości kochał miłością nieszcześliwą i niespełnioną Wandę Serkowską.¹³¹

Przemilczanie niektórych trudnych czy bolesnych faktów nie było jedynie formą przezornego uchronienia się przed ostrzem cenzury lub przed osądem wydanym przez przyszłych czytelników, było także metodą na uniknięcie

¹²⁹ *Ibidem*, t. III, s. 745. 10 XII 1955 r.

¹³⁰ *Ibidem*, s. 405. 14 IX 1950 r.

¹³¹ Por. K. Wierzyński, *op. cit.*, s. 47. oraz T. Katelbach, *Wspomnienie o Lechoni*, [w:] *Wspomnienia...*, *op. cit.*, s. 36.

głębszej rozpaczy, autoterapią, zupełnie jakby to, o czym się nie mówi, nie istniało. Poeta twierdził, iż jeśli powiedzenie o czymś trudnym będzie mogło przynieść mu ulgę, to o tym powie. Pozytywne skutki przemilczania pokazywał na przykładzie małżonków. Jego zdaniem każde wzorowe małżeństwo mogłoby rozlecieć się, gdyby każda pokusa była zanotowana. Niepisanie o tym, co chce się odrzucić jest zatem konstruktywną formą walki. W pierwszych zapisach z *Dziennika* Lechoń przyznawał otwarcie, że przemilczanie nie jest hipokryzją ani też kłamstwem, lecz przezwyciężeniem, zdawał sobie sprawę, że kajet może być nie tylko „kochanym dzienniczkiem”, który czeka na niego w pustym domu każdego wieczora, ale także przestrzenią niebezpiecznego rozrachunku.¹³² Zapewnienia, że gdy będzie tego potrzebował, otworzy się na kartach *Dziennika*, niekiedy były jedynie zapewnieniami bez pokrycia, bowiem poeta 30 VIII 1951 r. przyznał, iż nie raz w ciągu minionego roku poddawał się skłonności do ukrywania wszystkich swoich cierpień i gnębiących go kłopotów — wówczas w *Dzienniku* gubił siebie, powtarzał się, poddawał banałom i gotowym frazesom. Jednak po tym zwierzeniu skonstatował po raz kolejny, iż diariusz ma dla niego wagę jako świadectwo walki ze sobą i z gwiazdami oraz jako jedyny powiernik. Myślał też o przepisaniu go w całości, by kiedyś mógł być pouczającym dokumentem nie tylko literackim, ale również ludzkim, co dowodzi, że pisał go ze świadomością istnienia potencjalnych czytelników.¹³³

Momentami Lechoń zdawał się nie wiedzieć, kim naprawdę jest, czuł się zagubiony w swych licznych osobowościach. Stąd zawarcie autobiografii w trzecim tomie *Dziennika* może stanowić próbę odnalezienia własnej tożsamości i podbudowania własnego ego — Lechoń umiejscowił się bowiem na tle niebagatelnych tradycji historycznych — potomek znakomitych przodków, syn szlachetnych, aczkolwiek nie pełniących zaszczytnych funkcji społecznych rodziców, wychowujących średniego wiekiem syna na wieszcza.

¹³² J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., s. 34–35. Zapis z 7 IX 1951 r.

¹³³ *Ibidem*, t. II, s. 226. Istnienie odbiorcy i pisanie *Dziennika* nie tylko dla siebie, poświadczają także zapisy typu: „Wszyscy domyślacie się...”, zob. *ibidem*, t. II, s. 521. 28 VIII 1952 r.

Skomplikowane stany psychiczne pisarza sprawiły, że miał coraz większe problemy ze snem. Noc nie była już dla niego czasem wypoczynku, ale kolejnych niekontrolowanych zmagani. Relacje ze snów¹³⁴ zajmują pokaźny procent zapisów z *Dziennika*, domagając się osobnego opracowania z użyciem psychologicznych narzędzi interpretacji, z nadzieją na ujawnienie nieznanych pokładów lechoniowej psychiki i podświadomości. Sny są ekwiwalentami stanów psychicznych poety. Mnożą się w *Dzienniku* zapisy o nieprzespanej nocy i zadreżdżających go wizjach sennych: „Sny męczące przez całą noc. Zdaje mi się, że nawet w pewnej chwili krzyknąłem męczony przez jakąś zmore”.¹³⁵ „Bardzo zła noc — złe sny i złe konkluzje nad ranem”.¹³⁶ „Noc bezsenna, dzień koszmarny — gdyby nie opieka Gabrieli, nie wiem, jak bym to wytrzymał”.¹³⁷

„Dziś w nocy nad ranem ciężkie, bez żadnej litości wyrzuty sumienia za winy wobec różnych ludzi, niezamierzone, wynikłe z moich kłopotów, z nieumiejętności zrobienia cze-
gokolwiek, co nie jest moją życiową rutyną. Niemniej są to winy i nie mogę sumienia niczym oszukać. Zrobić wszystko, aby te winy naprawić”.¹³⁸

„Chyba od dwudziestu przeszło lat nie miałem takiej nocy. Dobrych cztery godziny nie zmrużyłem oka, wstrzą-

¹³⁴ „Obrzydliwe zmary w nocy. Obudziłem się w chwili, gdy śniło mi się, że ktoś jest za drzwiami tego domu. I do tej chwili nie jestem pewien, czy to był sen, czy coś znacznie gorszego, ale wcale nie jawa”, *ibidem*, t. III, s. 409. 4 VII 1953 r.; „Sny bardzo przykre i bardzo sensowne — może by się po nich człowiek dogrzebał do wnętrza wszystkich kompleksów, ale już za późno, już nie warto. Śniła mi się z sen-
nym wyolbrzymieniem spotworniała kłótnia moich rodziców, jedyna chyba w życiu. Kłótnia, która, myślę, była wielkim wstydem mego dzieciństwa i może nawet powodem smutku na całe życie”, *ibidem*, s. 412–413. 8 VII 1953 r.; „Sen znów jeden z tych plastycznych, natrętnych, że jeszcze mający się, gdy się otworzy oczy. Był jakiś klub czy jakaś organizacja ludzi, przeważnie Żydów, którzy mieli sobie odebrać życie z rzekomo ważnych już przeze mnie zapomnianych powodów. Leżeli wszyscy w łóżkach i właśnie miano puścić gaz czy coś podobnego, co by załatwiło całą sprawę. W tej chwili zorientowa-
łem się, że mam popełnić grzech śmiertelny, że jestem chrześcijaninem. I obudziłem się, a raczej otworzyłem oczy”, *ibidem*, s. 416–417. 13 VII 1953 r.

¹³⁵ *Ibidem*, t. II, s. 499. 30 VII 1952 r.

¹³⁶ *Ibidem*, s. 500. 31 VII 1952 r.

¹³⁷ *Ibidem*, t. III, s. 824. 15 IV 1956 r.

¹³⁸ *Ibidem*, t. II, s. 18. 13 I 1951 r.

sany przez jakieś nerwowe drgawki. Dręczony przez obsesje głosowe i wizualne. Gdy zasypiałem, natychmiast budził mnie jakiś spazm, jakbym miał zaraz na głos rozpląkać się. Chwilami zdawało mi się, że moja świadomość gaśnie, że doznaję jakichś uczuć paranoidalnych”.¹³⁹

„Zła noc. Budzenie się z uczuciem, że się duszę — uświadamiam sobie, że żyję w ciągłym zastrachaniu, które jest tylko słabym przedsmakiem, czym może być stały niewytłumaczalny strach”.¹⁴⁰

W myśl powiedzenia Cyserona, że sen jest obrazem śmierci, można patrzeć na lechoniowe problemy ze snem jako na projekcję lęków przed śmiercią. W wierszu *Pycha* czytamy:

I myślę: jestem człowiek, którego Bóg stworzył,
O każdej godzinie śmierć wisi nade mną.¹⁴¹

Wiele z nocnych obsesji Lechonia to irracjonalne lęki mające podłoże w rozchwianej psychice i nawarstwiających się neurozach. Przyłączyły się do nich dolegliwości kardiologiczne.¹⁴² Pisarz zdawał sobie sprawę, że wiele prześladowających go stanów to stany nieuzasadnione, nie był jednak w stanie nad nimi zapanować. Nazywał niekiedy swe obsesje senne wariactwem, a jednak im ulegał i pozwalał, by ich wspomnienia i analizy wytręcały go z równowagi psychicznej nie tylko nocami, ale także w dzień, nie pozwalały skupić się i pisać. Trudne życie Lechonia, pogoń za ciężko zdobywanym dolarem mogły jednak sprawiać, że w snach rozważał i projektował owe trudności. Wierzył w astrologię (z *Dziennika* wywnioskować można, że wiele horoskopów mu się sprawdzało) i przesady, dlatego też przywiązywał wagę do każdej wizji sennej, po wielokroć ją analizując i doszukując się w niej jakiejs życiowej przestrogi: „(...) Całą prawie noc nie spałem, imaginując sobie, że dziś rano coś pomyślnego, dawno ułożonego obróci się na złe. Wiedziałem, że to tylko nerwowy lęk, że żadnych na to realnych danych nie ma, ale ta

¹³⁹ *Ibidem*, s. 135. 22 VI 1951 r.

¹⁴⁰ *Ibidem*, t. I, s. 25–26. 31 VIII 1949 r.

¹⁴¹ J. Lechoń, *W moim sercu...*, *op. cit.*, 48.

¹⁴² „(...) niedobra noc z jakąś głupią sensacją koło serca”, *ibidem*, s. 181. 13 I 1950 r. „Zła noc, pełna zadyszek, jakichś sercowych sensacji, rwanie ręki i bóle nogi. I jakieś sny ciężkie”, *ibidem*, s. 203. 5 II 1950 r.

świadomość było to jedyne i zupełnie niezdolne mi pomóc oparcie się temu przywidzeniu. Poza tym bowiem męczyłem się, jakby to zło już mnie spotkało. Czyli właściwie wariacja, bardzo słabo łagodzona przez świadomość”.¹⁴³

„[We śnie] znów, jak przed paru dniami, wrażenie wielkich trudności, jakichś podświadomych udręk”.¹⁴⁴

Zapiski Lechonia ukazują go jako człowieka o wrażliwym, bogatym wnętrzu oraz pełnej samoświadomości, z wielką skrupulatnością przeprowadzającego codzienny rachunek sumienia, nie potrafiącego wy dostać się w pojedynkę ze swoich neurastenicznych przypadłości. Podczas podobnych rozważań uświadamiał sobie, jak bardzo jest samotny i wyobcowany. Lęk gonił lęk, poeta tkwił w swoistej matni — bezsensne noce nie pozwalały mu funkcjonować w dzień, złe zdarzenia dnia nie dawały spokojnie zasnąć.

Sumienie i rachunek sumienia to w życiu Lechonia słowa-klucze. Dniem i nocą przemyślał on swe życie i postępy, wyrzucając sobie, że czegoś nie dopełnił, obiecując poprawę i coraz bardziej konsekwentne obejście się z samym sobą. W stosunku do siebie zawsze był bardzo surowy — stawiał sobie wysokie wymagania, rozumiejąc je jako oczywiste. Nie uważał się przez to za kogoś nader przyzwoitego. Prawość i zacność to cechy, które Lechoń wyniósł ze swego domu rodzinnego.

Z drugiej strony, jak już wiadomo, Lechoń lubił także szeroko rozumiany kostium — symbol przynależności do ludzi wyższej klasy — od wczesnej młodości z lubością obracał się wśród osób z wyższych sfer życia kulturalnego, bardzo mocno odczuwał również potrzebę uczestniczenia w *sacrum*. Dokładał starań by zmitologizować swe życie, uczynić je widowiskowym, również poprzez swój klasyczny, nieco staroświecki wygląd, przechadzając się po ulicach Warszawy czy Nowego Yorku we fraku i cylindrze. Mitologizacja życia powiodła się Lechoniowi — był legendą za życia, już w młodości, zanim jeszcze wyjechał z kraju. Podobnie po śmierci — pozostały setki opracowań jego twórczości, dwie księgi wspomnieniowe, co więcej, w *Strofach o Lechoni* Stanisława Kaszyńskiego przekonujemy się, że nie było bodajże pisarza, który byłby bohaterem tytułu wierszy innych twórców.

¹⁴³ *Ibidem*, s. 70. 4 X 1949 r.

¹⁴⁴ *Ibidem*, s. 270. 16 IV 1950 r.

Lechoń do mistrzostwa doprowadzał pointę swych wierszy — jak sam pisał — akord ostateczny, do którego wszystko ma prowadzić. Lechoniowe pointy nie zawsze zamykają wiersze — nierzadko dopiero je otwierają, a dzięki swojej zaskakującej dwuznaczności pozostawiając kwestię do dyskusji, zmuszając do refleksji, poruszając głęboko emocje. Lechoń przyznawał zresztą w *Dzienniku*, iż często zaczyna pisanie swych liryków właśnie od końca¹⁴⁵ — pointa jest dlań punktem wyjścia, progiem, za którym następuje właściwe rozwinięcie. Nadto, poeta pilnował doskonałej architektoniki wersyfikacyjnej liryków, specjalizował się w idealnie i precyzyjnie skonstruowanych rymach (także wewnętrznych) oraz w bogactwie tropów stylistycznych. Zygmunt Nowakowski trafnie ujął, iż: „Lechoń był w wierszu skupiony, oszczędny, celny i umięjący zamknąć liryczną albo przeważnie dramatyczną treść w jednym słowie, w jednym krótkim finalnym akordzie.”¹⁴⁶

Poeta okiełznał sztukę, życie prywatne wymykało mu się jednak spod kontroli. Zdesperowany Lechoń szukał pomocy u lekarza.¹⁴⁷ Był nim doktor Joachimowicz, zapisujący mu demamyl¹⁴⁸, który z różnym efektem, brał Lechoń do końca życia. Brał też luminal i nadal walczył z efektami nieprzespanych nocy: „Tłumaczenie, sprawdzanie, dzień rozbity — nic nie można było pisać. Przy tym wielka melancholia, deszcz, jakaś anemia uczuć. Trzeba się było dobrze trzymać, żeby się nie rozkleić zupełnie”.¹⁴⁹

„Po okropnej nocy pisałem wszystko jak jedno, ale pisałem. (...) Oczywiście pisać przy takiej chorobliwej reakcji na to, co się robi, jest męką”.¹⁵⁰ „Potworne uczu-

¹⁴⁵ *Ibidem*, t. II, s. 165. 23 VI 1951 r.

¹⁴⁶ Z. Nowakowski, *Przypadkowy historyk*, [w:] *Pamięci...*, *op. cit.*, s. 81.

¹⁴⁷ „Wróciłem ze wsi nie wypoczęty, ale rozklejony i nie bardzo wiem, jak się skleić. Myślę, że mam jakieś zaburzenia gruczołowe właściwe drugiej młodości, co przypomina mi bardzo moją psychastenię sprzed lat trzydziestu. Od tego czasu lekarze wiele się nauczyli i liczę, że mi coś zastrzykną, co mnie ustrzeże od dociekań autoanalitycznych”, *Dziennik*, s. 513. 18 VIII 1952 r. „Straszne zmęczenie, różne poboлевания — tak że ledwom się powstrzymał od najścia Jachimowicza w dwa dni po wizycie u niego”, *ibidem*, s. 170. 29 VI 1951 r.

¹⁴⁸ „Wziąłem pigułkę, bo naprawdę nie mam czasu na namysły i walkę z depresją”, *ibidem*, t. I, s. 346. 13 VII 1950 r.

¹⁴⁹ *Ibidem*, s. 98. 25 X 1949 r.

¹⁵⁰ *Ibidem*, s. 110. 5 IX 1949 r.

cie pustki, które chwilami wydaje mi się być bólem porodowym — ale po rezultacie dzisiejszego ranka nie jestem już tak pewny tego płodu. Wszystko z tego wyjść może, ale teraz boję się, aby nie wyszło znów zniechęcenie i potworna neurastenja”.¹⁵¹

Poeta bezskutecznie usiłował dojść do ładu ze sobą: „Czasami myślę, że coś jest źle ze mną, takie wytarte słowa lecą mi pod pióro i takie banalne myśli. Czytam ten dziennik jako dokument mego upadku”.¹⁵² „Nie ma się co zapierać, od paru tygodni jest bardzo źle ze mną. Noszę w sobie problemy naprawdę spychane do podświadomości, piszę z przymusem, straciłem instynkt, który mnie przez parę lat jeżeli nie prowadził, to oświecał. Teraz nawet jeżeli robię to, co trzeba, to nie z instynktu, ale z rozmysłu. I naprawdę nie wiem, jak to zmienić”.¹⁵³ „Szalony, naprawdę bez dna smutek. Rozumiem teraz, dlaczego przez tych parę miesięcy ostatnich tak uciekałem od siebie”.¹⁵⁴

„Wciąż nie ma mnie. Rozleciałem się. Dusza poza mną, ciało dziko zmęczone — tylko nerwy rozklekotane mówią mi, że jestem”.¹⁵⁵

Ale ciemności wewnętrzne nie były stanem permanentnym — nastroje poety zmieniały się dosłownie z chwili na chwilę, o czym napisał w *Dzienniku* 2 marca 1950 r.¹⁵⁶

Atmosfera religijna w domu rodzinnym Lechonia była pełna niekonsekwencji. We wczesnym dzieciństwie Serafinowiczowie odmawiali pacierz, a jednocześnie bardzo rzadko bywali w kościele. Starszy brat Lechonia twierdził, że Leszek, mając jedenaście lat, przystąpił do spowiedzi i na tym skończyły się jego praktyki religijne. Wznowił je na emigracji jako pięćdziesięciolatek, dopiero wówczas przystępując do Komunii.¹⁵⁷

W okresie nowojorskim religijność Lechonia jest godna zaakcentowania. Zawsze pokorny wobec Boga, autor pięknych strof o Maryi (*Matka Boska Częstochowska* i *Do*

¹⁵¹ *Ibidem*, t. II, s. 22. 18 I 1951 r.

¹⁵² *Ibidem*, t. I, s. 103. 28 X 1949 r.

¹⁵³ *Ibidem*, s. 363. 29 VII 1950 r.

¹⁵⁴ *Ibidem*, s. 379. 16 VIII 1950 r.

¹⁵⁵ *Ibidem*, s. 333. 27 VI 1950 r.

¹⁵⁶ *Ibidem*, s. 227–228.

¹⁵⁷ Z. Serafinowicz, *Wspomnienie o Janie Lechoni*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 9–10.

Madonny Nowojorskiej), w chwilach swych najgłębszych kryzysów uciekał w modlitwę, błagając Boga o siłę i ratunek: „Powiniennem być dzisiaj pomodlić się na intencję lepszych myśli (...)”.¹⁵⁸

Poeta modlił się o „własne odnalezienie”, prosił o pomoc patrona rzeczy zagubionych, pomocnego w sytuacjach beznadziejnych św. Antoniego: „Postawiłem świeczkę przed św. Antonim i modliłem się, jak umiałem najżarliwiej”.¹⁵⁹

Wiara i modlitwa stanowiły dla poety ucieczkę, przestrzeń nadziei, ocalenia, wyciszenia. Gdy zawiodło wszystko to, co można było wykrzesać z samego siebie, pozostała modlitwa. Im bliżej wewnętrznej ciemności, tym mocniej lgnął Lechoń do Boga: „Więc trzeba brnąć w to dalej z latarką wiary i powiedzmy ordynarnie, cnoty, aby nie zgubić się w swoich własnych duchowych podziemiach. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Amen”.¹⁶⁰

Lechoń odnosił się do Boga z pozycji pełnej ufności i pokory — był mu wdzięczny, że nie doświadczył go jeszcze bardziej. Nawet w najtrudniejszych chwilach nie zdarzało mu się złorzeczyć czy tracić nadzieję, pragnął walczyć z własną niemocą, neurozami i samotnością. Im bardziej tę walkę przegrywał, tym gorliwiej prosił o pomoc nadprzyrodzoną: „Modlę się żarliwie, jak umiem najgoręcej. Sam naprawdę nie wiem, jak się obronić przed zalewającym mnie smutkiem”.¹⁶¹

„Modlę się o światło, abym zobaczył drogę w ciemności, o siłę, aby znieść tę ciemność. Modlę się i pragnę modlitwy za mnie, bo mi bardzo ciężko i jestem zamknięty w sobie jak w dręczącym, ciemnym szaleństwie”.¹⁶²

W *Rekrutacji* podmiot mówiący wyznaje, iż czasem zbacał z bożych dróg, deklaruje jednak przynależność do niebieskich szeregów i prosi Boga, by nie pozwolił mu z nich wystąpić, gdy przyjdą chwile zapomnienia:

Węź mnie do Twych szeregów, choć wyznać Ci muszę
Żem nieraz Cię odstąpił, bo mnie wróg Twój ludzi

¹⁵⁸ *Ibidem*, s. 380. 17 VIII 1950 r.

¹⁵⁹ *Ibidem*, s. 423. 23 IX 1950 r. Por. wcześniej cytowany wierszem św. Antoniego.

¹⁶⁰ *Ibidem*, t. II, s. 513. 18 VIII 1952 r.

¹⁶¹ *Ibidem*, t. I, s. 428. 9 X 1950 r.

¹⁶² *Ibidem*, t. II, s. 213. 14 VIII 1951 r.

I po różnych manowcach prowadził mą duszę,
Nimem głos Twój rozpoznał i wreszcie się zbudził.

Nie nęciły mnie nigdy laury wojownicze
I od pierwszych szeregów będę stronił z dala,
Lecz gdybym miał uchodzić, wtedy, Panie, liczę
Na potężny kuksaniec Anioła-kaprała.¹⁶³

Liryk *Modlitwa* jest błaganiem skierowanym do Boga o ukojenie i wyswobodzenie, wołaniem powtarzanym przez poetę zwłaszcza w ostatnich latach życia:

Bładym uczyni nas rankiem, wschodzącym na niebie,
Obłokiem, co w południe leniwo przepływa,
Woalem czarnej nocy, co ziemię nakrywa
— Oswobódź nas od duszy i wybaw od siebie.¹⁶⁴

W *Sądzie ostatecznym* natomiast wyrażona jest biblijna prawda, którą Lechoń wyznawał, iż Bóg wspiera szczególnie ludzi zbolątych, raduje go nawrócenie grzesznika.

Po wieloletnim zawieruszeniu trafił szczęśliwie w ręce poety wysłany mu przed laty modlitewnik, który bezskutecznie od dawna próbował zdobyć. Stanowił on dla Lechonia nieukrywaną radość i sprawił, że wstąpiła w niego nowa nadzieja. Poeta szczerze wierzył w orędownictwo za nami świętych, którym się ufnie polecamy: „Modliłem się wczoraj z przysłanej przez ks. Meysztowicza modlitewniki [sic!] i dotykałem tego czerwonego skrawka szaty arcybiskupa Cieplaka. Już to mi pomogło, że wierzę, iż to może sprowadzić na mnie Łaskę”.¹⁶⁵

Z każdym rokiem pobytu w Nowym Yorku Lechoń popadał w coraz większą samotność, życie w przyjaźni z Bogiem pomagało mu stawiać czoła następnemu dniowi i następnej samotnej nocy, lecz nie uchroniło go ostatecznie przed dramatycznym końcem: „Samotność przeraźliwa, jakby moje sprawy było to coś zupełnie oderwanego od spraw świata, spraw wszystkich ludzi. Może tak być powinno. Może wtedy właśnie pojmuję się, że wszystko zale-

¹⁶³ J. Lechoń, *W mym sercu...*, op. cit., s. 143.

¹⁶⁴ *Ibidem*, s. 42.

¹⁶⁵ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. III, s. 182. Zapis z 10 VII 1953 r.

ży od Boga i tylko z nim należy mówić. W takim razie żyłem i żyję wciąż w herezji, bo czuję raczej swego istnienia, raczej świata właściwie, gdy jestem wmieszany w życie innych, w sprawy tego świata. I zdaje mi się, że Bóg jest w nich właśnie i że wtedy z nim się łączę”.¹⁶⁶

Zapiski z ostatnich lat i miesięcy mówią o dużej dojrzałości duchowej poety i jego silnym zjednoczeniu z Bogiem. Gdy nie pracował modlił się gorliwiej. Zarówno praca, jak i modlitwa ratowały go przed rozpaczą. Te dwie cnoty uwypukla Lechoń w swym *Dzienniku* wielokrotnie: „Módl się i pracuj. Muszę teraz tylko modlić się, modlić się jeszcze żarliwiej, dlatego, że nie pracuję”.¹⁶⁷

Od kwietnia 1956 r. wkracza czytelnik *Dzienników* w obszar coraz bardziej niepokojących, wołających o pomoc zapisków. Lechoń dał się zwyciężyć smutkowi i lękom, których nie mógł już okiełznać. Nie były one przejściowo pojawiającymi się stanami niemocy, ale permanentnym poczuciem wkraczania w ciemną przestrzeń, z której nie ma wyjścia: „Noc obrzydliwa i cały dzień zamroczony. Modłę się i proszę — módlcie się za mnie”.¹⁶⁸

„Mam uczucie, że obudziłem się ze snu prawie całego życia, że od dzieciennych lat, kiedy płakałem po nocach na myśl, że »będziemy umierali«, nie przeżywałem takiego jak teraz pesymizmu, na który żadne życiowe siły nie poradzą, więc modłę się, aby mnie wspierała siła, która jest nad nami”.¹⁶⁹

Lechoń nie zdradzał się ze swymi bolączkami. Co prawda mówił (dowcipkował) wielokrotnie o swojej śmierci, ale ponieważ były to żarty dość częste i poeta zdążył przyzwyczaić przyjaciół do nich, nie wzbudzały niepokoju otoczenia. Nierzadko pytał przyjaciół, czy warto popełnić samobójstwo, po chwili obracając pytanie w żart, innym razem przerażał ich wyciąganiem ręki i stwierdżaniem, że na niej zapisane jest, iż umrze okropną śmiercią”.¹⁷⁰ Przyjaciele pełnili przy Lechoniu „dyżury”, gościli go na noc

¹⁶⁶ *Ibidem*, s. 341. 6 IV 1954r.

¹⁶⁷ *Ibidem*, s. 436. 21 IX 1954 r.

¹⁶⁸ *Ibidem*, s. 829. 23 IV 1956 r.

¹⁶⁹ *Ibidem*, s. 845. 17 V 1956 r.

¹⁷⁰ A. Janta, *O dwa palce od serca czułem sępa szpony... Przyczynek do nowojorskich dziejów życia i śmierci Lechonia*, [w:] *Pamięci...*, op. cit., s. 13–17.

w swoich domach, gdyż noc we własnym mieszkaniu napa-
wała poetę czarnymi myślami, mawiał, że czuje się w nim
jak w zakładzie pogrzebowym.¹⁷¹ Ciekawość świata, dow-
cip, bogata korespondencja, liczne telefony do przyjaciół
(czasem śpiewane), wygłupy i kontakty z dziećmi były
sposobami Lechońa na „zagadanie” niepokoju wewnętrż-
nego. Jednocześnie oswajał śmierć, kokietował ją i obła-
skawiał, bojąc się jej zarazem. Przez całe życie odzywa-
ły się w nim różne głosy, sprzeczne osobowości. Mówił, że
ma je co najmniej dwie. Dwa tak różne i sprzeczne profile
Lechońa, które ok. 1933 r. zauważył artysta Blake¹⁷², do
końca życia rozdzierały pisarza i niechybnie przyczyniły
się do tragicznego końca:

Wśród burz, co już szaleją i co grożą z oddali,
Kiedy wszystkie siły rozprzęgły się w naturze,
Ocalić można wszystko, jeśli się ocali
To, co nas robi ludźmi: nasze własne burze.¹⁷³

Lechoń nie uchylał się przed cierpieniem, walcząc
dzielnie do końca, jak w liryku *Od żalu nie uciekniesz*:
„I żyjesz, aby twoja nieśmiertelna dusza/ Co dane jej prze-
cierpieć cierpiała do końca”.¹⁷⁴ Bycie poetą daje filozoficz-
ny dystans i mądrość życiową, zobowiązuje do trwania:
„My z starym Sofoklesem spokojnie patrzymy/ Na ten wi-
dok na który chciałbyś zamknąć oczy”¹⁷⁵, jednak Lechoń-
człowiek odczuwa cierpienie dogłębnie — do szpiku kości:
„Rozsądziłem sam siebie i jak Edyp oczy,/ Wyrywam z sie-
bie serce rękami własnymi”.¹⁷⁶

Poeta coraz częściej czuł się bezsilny, zdawało mu się,
iż nie kieruje swoim życiem, że nie ma sprawiedliwości

¹⁷¹ Lechoń, jak tu było wspomniane, uciekał często w samotność, skry-
wał swoje bóle. Jego zapis z *Dziennika* z 4 VIII 1953 r. jest porusza-
jący z tego względu, że poeta uświadamia sobie, iż w pojedynkę nie
poskromi swoich demonów wewnętrznych. Lgnął do przyjaciół, by
znaleźć u nich rozwiązanie, którego sam nie widział, por. J. Lechoń,
Dziennik, op. cit., t. III, s. 431.

¹⁷² Por. T. Terlecki, op. cit., s. 19.

¹⁷³ J. Lechoń, *Manon*, [w:] idem, *W mym sercu...*, op. cit., s. 102.

¹⁷⁴ J. Lechoń, *Poezje zebrane*, op. cit., s. 85.

¹⁷⁵ *Ibidem*.

¹⁷⁶ J. Lechoń, *Oedipus Rex*, [w:] idem, *W mym sercu...*, op. cit., s. 152.

ani miłosierdzia, nawet nagrody za cnotę, a największe wysiłki mogą obrócić się na jego krzywdę. Określił swoje życie jako „powieść dla idioty, ponurą i gorszącą”.¹⁷⁷

Nikt nie zdawał sobie zatem sprawy, jak bardzo walczył on sam ze sobą, w samotności, dokładając wszelkich starań, by zachować przed ludźmi twarz i klasę, jak przystało na człowieka lubującego się w dawnych wartościach i rekwizytach: „Na wierzchu spokój, opanowanie, nawet dowcip — wiem co trzeba robić, co należy czuć, ale w środku bunt, szaleństwo, i to, co czuję naprawdę. Trzymać się i udawać do końca — w nadziei, że Bóg mnie uspokoi i pozwoli być sobą i mieć twarz, jaką trzeba, dla ludzi”.¹⁷⁸

„Udawać do końca” — to dramatyczne stwierdzenie oznacza, iż Lechoń miał świadomość, że koniec jest (może być) blisko, a jednak ukrywał tę tragiczną wiedzę przed otaczającymi go ludźmi. Notatki z maja 1956 r. prorokują nieuchronny dramat, Lechoń nie był już w stanie uciec, znaleźć ani chwili wytchnienia przed wszechogarniającym go bólem egzystencjalnym. Dramat pisarza dokonuje się w jego wnętrzu, z dala od świata, jedynie w obecności Boga. Gdyby podzielił się nim z bliskimi, najprawdopodobniej nie przegrałby tej bitwy: „(...) Poza tym rozpacz i pokora bez granic”.¹⁷⁹

„O tyle dziś lepiej, że wczoraj był jeden z najgorszych dni w życiu. Przyjaźń ludzka, serce, cóż to za siła! Parę słów Jadzi Smosarskiej, czuła grzeczność Zygmunta, dobry uśmiech Zosi Korbońskiej, warszawska solidarność Neli Rubinstein, pozwoliły mi przeżyć ten dzień, zdawałoby się nie do przeżycia”.¹⁸⁰

Poeta starał się do końca zachować twarz przed ludźmi (tylko w swoim *Dzienniku* zdobywał się niekiedy na autentyczność), można uznać za świadectwo zmuszania się, zadawania sobie gwałtu, aby do kresu sił za-

¹⁷⁷ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. III, s. 823. Zapis z 12 IV 1956 r.

¹⁷⁸ J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. III, s. 828. Zapis z 22 IV 1956 r.

¹⁷⁹ *Ibidem*, s. 847. 21 V 1956 r.

¹⁸⁰ *Ibidem*, s. 851. 28 V 1956 r. Wcześniej w *Dzienniku* znalazło się również wiele zapisów o wsparciu udzielonym przez osoby bliskie, np. o bardzo zacnym, braterskim liście od Kazia [Wierzyńskiego]. Lechoń ów list wziął sobie do serca, które zamknęło się pełne bólu i gorczy. *Ibidem*, t. I, s. 429. 10 X 1950 r.

chować doskonałość formy, odegrać rolę po mistrzowsku. Dlatego może jeszcze pięć minut przed samobójczym skokiem, jakby nigdy nic, siedział Lechoń z przyjaciółmi w kawiarni...

Ostatni weekend swojego życia spędził poeta u Stanisławy Nowickiej, która słyszała jak „krążył po nocy i wył głucho z bólu”.¹⁸¹ Lechoń wiedział, że Stasia lubiła przepowiednie, może nawet uważał ją za osobę nieco przewrażliwioną¹⁸², wówczas jednak nie myliła się, przeczuwając coś naprawdę niedobrego.

Do samego końca dusił Lechoń własną mękę w sobie, borykał się ze swym przeraźliwym smutkiem, wśród ludzi nadrabiając miną, życzliwością i żartami. Paradoksalnie, jak nadmieniono, słynął z anegdot i dowcipów, którymi „sypał jak z rękawa”, dlatego pewnie, by nie mówić o sobie, zmylić czujność przyjaciół, zwłaszcza wówczas, gdy jego duszę zalewała ciemność. W dwóch ostatnich zapisach z *Dziennika* czytamy: „Nic nowego, słup twardego smutku we mnie. I ledwo że mogę iść między ludzi, tak mnie boli uśmiechać się i mówić, co trzeba powiedzieć — gdy chciałoby się zawołać o tym, co jest teraz we mnie”.¹⁸³

„Nie jest do wyobrażenia, co przeżyłem dzisiaj. Nie w życiu, ale w sobie, wewnątrz. Wróciłem późno do domu i zdawało mi się, że to wszystko była imaginacja, że stwarzam sobie problemy, których nie ma w życiu. Ale wiem, że to po prostu zmęczenie, że to dziecinne złudzenie, które mnie naszło, abym przez tę chwilę odpoczął. Można zawsze znaleźć w swej inteligencji, woli, sercu coś, co pomoże nam w walce z życiem, z ludźmi. Ale na walkę z sobą — jest tylko modlitwa”.¹⁸⁴

30 maja zapisy w skrupulatnie, codziennie wypełnianym *Dzienniku* urywają się. Poecie pozostało jeszcze dziewięć dni życia. Przestał pisać — być może nie był już w stanie, być może zrozumiał, że „rozmowy” z diariuszem ani usilne modlitwy go nie uratują. Ta ciższa to najwymowniej zapisane karty *Dziennika* Lecho-

¹⁸¹ I. Lorentowicz, *op. cit.*, s. 251.

¹⁸² Zob. J. Lechoń, *Dziennik*, *op. cit.*, t. II s. 41. Zapis z 6 III 1951 r.

¹⁸³ J. Lechoń, *ibidem*, t. III, s. 851. Zapis z 29 VI 1956 r.

¹⁸⁴ *Ibidem*, s. 852. 30 V 1956.

nia, jego najwymowniejsza walka i modlitwa. W ostatnich dniach trwał sam ze sobą, w obecności Boga, jak w wierszu Erynie: „Wszystko na oczach ludzi, lecz wszystko w milczeniu”.

Marek Rudzki cytuje Wierzyńskiego, który współprowadził z Lechoń 5 VI audycję radiową. Przed nagraniem Lechoń robił wrażenie zupełnie roztrzęsionego, a w czasie programu opanował się nie do poznania.¹⁸⁵ Po audycji zapytany przez Wierzyńskiego jak się czuje, zapewnił, że dobrze, a następnie, łkając, uciekł. Nie przyjął zaproszenia do teatru. Sztuka okazała się być bardzo wzruszająca, więc przyjaciele stwierdzili po spektaklu, że może to dobrze, że nie przyszedł, gdyż po takim przeżyciu, w jego kondycji psychicznej, mógłby popełnić samobójstwo.

8 czerwca 1956 r., w piątek, Lechoń umówił się ze znajomymi na lunch. W trakcie spotkania poprosił nagle o pożyczanie mu dolara osiemdziesięciu centów, argumentując, że zapomniał zabrać z domu pieniądze, a musi wykupić coś z pralni. Nie wracał długo. Wkrótce znajomi zauważyli zamieszanie na ulicy. Wówczas już ciało Lechonia kładzione było na nosze i przykrywane.¹⁸⁶ Do hotelu Henry Hudson można było dostać się bez problemu, o czym poeta, będący tam kiedyś i do października 1951 r. mieszkający blisko, wiedział. Być może kilka lat przed śmiercią, żyjąc w pobliżu Hudsona, w chwilach wewnętrznie trudnych, samotnych i nie do zniesienia spoglądał Lechoń na ten wzbijający się w chmury budynek z zaczątkiem tragicznej myśli, by ulżyć swemu cierpieniu ostatecznie...

Zrekonstruowana twarz poety leżącego w domu pogrzebowym, wystawionego na widok publiczny w przeddzień pogrzebu, nie przypominała jego naturalnych rysów. Przez ten tragiczny widok przebijała symboliczna prawda — wśród wielu twarzy Lechonia ta prawdziwa pozostała nieodgadniona.¹⁸⁷

¹⁸⁵ M. Rudzki, *Lechonia poznałem pod fortepianem*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 293.

¹⁸⁶ Zob. S. Nowicka, *Ostatni weekend Lechonia*, [w:] *Wspomnienia...*, op. cit., s. 314.

¹⁸⁷ Siedem lat przed śmiercią zapisał Lechoń: „Czy to możliwe, żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego niepojętego rozdwoje-

W liryku *Do Madonny Nowojorskiej*, tworzonym długo i z pietyzmem, w czasie ostatniej ziemskiej emigracji pisał Lechoń:

Nie każdy Cię zobaczy, bo Cię kryje nocą
Jako dymy kadzideł czerwonych łun szaniec,
Lecz ja widzę po gwiazdach, kiedy się trzepocą,
Że to Ty Twój wieczorny przebierasz różaniec.
(...) I w ciszy, kiedy tylko spóźnionych przechodni
Krok pospieszny jak dzwonek na alarm kołata,
Wśród przepychu i nędzy, miłości i zbrodni,
Ja modłę się o cudy dla siebie i świata.¹⁸⁸

Lechoń był człowiekiem o niebywalej inteligencji i wrażliwym wnętrzu, do bólu samokrytycznym, stale zależnym, czy spełni oczekiwania czytelników. Od dziecka bał się śmierci. Śledząc jego losy ma się jednak nieodparte wrażenie, że był na nią skazany, w jakiś organiczny czy raczej psychiczny sposób na nią „zaprogramowany”, jej cień podążał za nim wszędzie, a kolejny rok w jego życiu był tylko rokiem udanej ucieczki przed śmiercią, która była mu przeznaczona, odwlekaniem nieuniknionego. Jego życie było godną i zasługującą na szacunek i podziw walką o zachowanie twarzy, walką z sobą, z tajemnymi siłami, z przeciwnościami losu, walką do końca naznaczoną nadzieją. Lechonia opłakiwał cały świat polskiej emigracji. Poeta miał wspaniały pogrzeb — katolicki — wbrew ówczesnym przepisom kościelnym, dotyczącym samobójców. W trzy tygodnie po odejściu Lechonia kardynał Stefan

nia, które mnie rozdziera, którego sensu nie rozumiem, a które tyczy się wszystkiego we mnie: myśli, uczucia i zmysłów? Każda praca bardziej wyciężona i każdy niemal wiersz naprawdę dobry okupione są tym jakby odejściem od siebie, tym powierzeniem się jakimś tajemniczym mocom, które mnie ssą jak wampiry i pozostawiają później w pustce i bez jakiegokolwiek radości z tego, co uczyniłem”, J. Lechoń, *Dziennik*, op. cit., t. I, s. 78. Zapis z 11 X 1949 r. Lechoń miał dwa pogrzeby. Pierwszy 12 VI 1956 r. w Calvaria Cemetery oraz w maju 1991 r. po ekshumacji, w grobie rodziców, w Laskach. W obu przypadkach na tablicy nagrobnej umieszczono nieprawdziwą datę jego śmierci: w pierwszym 8 VII, w drugim 8 V, zupełnie jakby Lechoń nawet po swym odejściu miał podlegać dziwnym zajściom i nie znać spokoju.

¹⁸⁸ J. Lechoń, *W mym sercu...*, op. cit., s. 156–157.

Wyszyński wysłał do brata poety — Zygmunta Serafinowicza — list o następującej treści:

„Bardzo drogi Zygmuncie. Odprawiłem Mszę św. za poetę Jana Lechonia i ufam spokojnie, że Dobry Bóg da mu jak Hiobowi wszystkiego siedmiokroć. Przecież pozwolił ongiś nieprzyjaznemu, by uderzył ciało Hiobowe, ale do duszy prawa nie dał. Ufajmy, że z tej strasznej męki życia dusza wyrwała się z tęsknotą za Prawdziwym Ojcem. Komańcza, 1 VII 1956”.¹⁸⁹

¹⁸⁹ Cyt za: B. Dorosz, *Jana Lechonia legenda bogata sprzeczności*, [w:] J. Lechoń, *W moim sercu...*, op. cit., s. 14–15.